BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

WITAMY III ZJAZD PARTII!

KAMENA

DWUTYGODNIK • LITERACKI

LUBLIN

15.III.1959

Nr 4-5 (170-171)

ROK XXVI

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Stulecie śmierci Zygmunta Krasińskiego ● Z Witkacym na Antałówce i w Wierch-Cichym ● O poecie, który możnym się nie kłaniał ● Studenci – kto zacz? ● O inscenizacji „Zawiszy Czarnego" ● Pisarze o losach literatury i in.

Brońmy się przed emigracją

ADOLF LEKKI

Przycichliśmy na chwilę. Jeszcze rozgorączkowani wielką dyskusją, jeszcze zapatrzeni we własne podwórka i projekty ich zmian, nadsłuchujemy wieści z Warszawy. III Zjazd partii rozpoczął obrady. Tezy XII Plenum, wzbogacone o tysiąc wniosków i uwag, zostaną jeszcze raz poddane wszechstronnym badaniom. Z nich narodzi się perspektywiczny plan rozwoju Polski w latach 1959—65. Będziemy jeszcze mówić o tym, jak najlepiej wprowadzać go w życie, jak uzyskiwać cyfry, które z taką rozwagą rzucaliśmy na papier.

Na razie zastanówmy się nad odbytą dyskusją i zwróćmy uwagę na te zjawiska, które budzą uzasadniony niepokój. Nie będzie to w żadnym wypadku pogwałceniem powagi obrad Zjazdu ani próbą wywołania zgrzytu w podniosłej atmosferze. Po prostu sam fakt, że Zjazd nakreśli program wcale nie łatwy do realizacji, zmusza już dziś do ujawniania tego wszystkiego, co w przyszłości może stać się hamulcem.

Kilka słów wyjaśnienia: w toku dyskusji przedzjazdowej robotnicy, inteligencja techniczna, chłopi i pracownicy umysłowi Lubelszczyzny złożyli ponad 1.600 wniosków. Zostały one skrupulatnie zbadane, kontroluje się przebieg realizacji tych, których natychmiastowe wprowadzenie w życie uznano za konieczne. Wszystkie te wnioski dotyczą zagadnień ekonomiki przemysłu, rolnictwa, handlu itp. Nie ma wśród nich jednak ani jednego, który bodaj zahaczyłby o sprawy kultury i oświaty.

W kampanii przedzjazdowej masy pracujące Lubelszczyzny poparły program partii czynem produkcyjnym, którego zasięg przekroczył nawet najśmielsze oczekiwania. Kontrola realizacji zobowiązań przeprowadzona w początkach lutego wykazała, że wartość ich sięga kwoty 582 mln. złotych. Przystąpili do czynu zjazdowego chłopi, robotnicy rolni — niemal wszystkie warstwy społeczne. Znikome jednak zainteresowanie Zjazdem wykazują działacze kultury i to zarówno jej twórcy, jak i ci, którzy mają zajmować się jej upowszechnieniem.

Kto pilnie śledził przebieg dyskusji przedzjazdowej, ten musi odczuwać pewien niedosyt i uzasadniony niepokój. Zagadnienia kultury i oświaty znalazły się niejako na marginesie.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież hasło partii: „1000 szkół na tysiąclecie" przyjęte zostało niemal z entuzjazmem. Tak. To prawda. Ale budowa szkół to jeszcze nie oświata. To dopiero stwarzanie dla niej odpowiednich warunków.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież w pismach literackich i kulturalno-społecznych toczy się ciągła dyskusja na tematy kultury i oświaty, — że dotyczy ona zarówno twórców jak i odbiorców. Tak. To również prawda. Ale do najszerszych warstw społecznych — z myślą o których dyskutować powinien tak twórca, jak i „urzędnik od spraw kultury" — dociera tylko skąpe echo, przemijające zresztą bez większych wrażeń. Za tą dyskusją nie postępują ciągłe i szybkie zmiany na lepsze.

Dwa są — tak mi się wydaje — zasadnicze powody zepchnięcia spraw kultury na margines dyskusji przedzjazdowej.

Pierwszy powód — to wyczekujące stanowisko pewnej części twórców. Mówią oni: „Pragniemy służyć narodowi". Lecz z drugiej strony zmiany zachodzące w ekonomice kraju, w psychice narodu, nie wywierają na nich większego wrażenia. Oni czekają — swoją niewiedzę o życiu narodu, swoją duchową emigrację pokrywając milczeniem lub zniechęconym wzruszeniem ramion.

Nie przyjmują do swojej świadomości ani konsolidacji sił partii, ani zacieśniającego się jej związku z narodem.

Drugi powód jest innego gatunku. W ciągu dwóch lat, które minęły od Października, nie sprawy kultury — mimo iż ich waga nie straciła nic ze swego ciężaru gatunkowego — były dla partii najważniejsze. Walka o jedność partii, załatwianie nabrzmiałych problemów ekonomicznych, troska o polepszenie warunków bytowych ludzi pracy — oto sprawy, którym poświęciła partia swój wysiłek. W tym samym czasie partyjni działacze kultury zbyt powoli przechodzili do ataku, zbyt długo trwali na pozycjach obronnych.

Nie od dzisiaj powstało twierdzenie, że sztuka dobra, ambitna, musi wyprzedzać swój czas, musi być sztuką jutra. Z tym zgoda. Ale to przecież wcale nie oznacza, że jej twórcy nie mają się wiązać z zadaniami dzisiejszego dnia. Odwrotnie — nie znając prawdziwego dnia dzisiejszego, nie można tworzyć na jutro. I z tych względów, dla dobra społeczeństwa i twórców, skończyć się powinna ta duchowa emigracja, o której mówiłem, z tych względów sprawy kultury nie mogą znajdować się na marginesie bytu naszego narodu.

Obradujący obecnie III Zjazd partii jest dobrą okazją do gruntownego przygotowania ofensywy socjalistycznych treści kultury pojętej jak najszerzej, przeznaczonej do codziennego użytku ludzi pracy.

Oto kilka zadań, które wysuwają się na czoło:

Twórcy dóbr kulturalnych uparcie bronią swojej swobody twórczej. I mają do tego prawo. Problem nie tkwi w kierowaniu twórczością, lecz w stałej rozmowie z twórcami, w przekonywaniu ich o słuszności drogi, którą pod kierunkiem partii kroczy naród. Droga do tak rozumianej sztuki wiedzie przez umysł jej twórcy. Jak dotychczas instancje partyjne i członkowie partii działający w środowiskach twórców nie poświęcili zbyt wiele uwagi tej sprawie.

W zagadnieniach kultury przeznaczonej na codzień zasadniczą sprawą jest sposób jej upowszechniania. Oto przykład z „własnego podwórka". Siedem powiatowych domów kultury istniejących na Lubelszczyźnie prowadzi wprawdzie dość ożywioną działalność, lecz jest to kropla w morzu potrzeb. Trzysta świetlic wiejskich teoretycznie pracuje, lecz w praktyce... Proszę wyjechać do wiosek i małych miasteczek, a zobaczycie sami. Z wyjątkiem kilkudziesięciu, gdzie istnieją zespoły amatorskie, reszta to puste, w miarę brudne sale, albo przytulne, umeblowane pokoiki... zamknięte na cztery spusty.

Nie, nie jest dobrze z upowszechnianiem kultury. I pomyśleć, że tyle już padło na ten temat słów, tyle podjęto konstruktywnych wniosków, tyle wypisano atramentu. Czyżbyśmy byli złymi organizatorami? Czyżby nie było nas stać na nic, poza gadulstwem? Nie wierzę. Muszą być inne przyczyny. I one także należą do kategorii tych ujemnych zjawisk, które trzeba usunąć.

Chętnie dyskutujemy na różne tematy w kawiarnianym zaciszu czy w wygodnych klubowych fotelach. Czy nie nadszedł czas zerwać z wygodnictwem — aby częściej i systematycznie spotykać się z tymi, którzy na nas czekają?

Jest dużo spraw czekających na załatwienie. Czas już, aby działacze kultury nie wlekli się jak maruderzy za historią, aby zajęli należne im miejsce, — aby to, co do nich należy, załatwiali sami bez prowadzenia ich za rączkę.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

* * *

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne, lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze,
Za to potwarzą ścigane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość Anioła!
Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało;
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie,
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda — nie mściwie — nie hardo —
Lecz z przebaczenia anielską pogardą! —

— Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane!
Serce niewieście i prześladowane!
Gdziekolwiek jesteś — z bliska czy z daleka:
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka!
Weź pieśń! po pieśni poznasz we mnie brata,
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata.

Za to, żeś, Siostro, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w ten grób nie zstąpiła,
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętym współczuciu i w świętej miłości,
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

Varenna. — 1840. 15 Sierpnia („Noc letnia")

Przewodnik po literackim Szczecinie

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

OBFITY w treść tom almanachu „Szczecin Literacki" służy bez wątpienia jako przykonywający dowód w wieloletnim sporze o rangę i wartość kulturotwórczą prowincji. Polski Szczecin jest w zasadzie przecież miastem bez tradycji literackiej, jeśli nie liczyć wysiłków autochtonów około dochowania wierności ojczystemu językowi. Polscy pisarze i działacze kulturalni osiedlają się tutaj dopiero od roku 1945, przy czym są to zazwyczaj artyści mniej znani i uznawani, gdyż tzw. luminarze współczesnej literatury uciekają zazwyczaj po niedługim czasie mimo, a może właśnie wskutek deklamacji o swej wierności dla Ziem Odzyskanych.

Konsument literatury i sztuki w Szczecinie i otaczającym go regionie jest — jak to się mówi — surowy, wywodzący się z różnych okolic kraju i klas społecznych, o różnych tradycjach kulturalnych, a nawet często — bez tradycji. A mimo to, mimo te wszystkie okoliczności przeciwstawiające się — zdawałoby się — jakimś bardziej ambitnym poczynaniom kulturalnym w Szczecinie — jego środowisko literackie zdobyło się na przeszło 700-stronicowy tom, gdzie zaprezentowały się bodaj wszystkie gatunki i odmiany twórczości pisarskiej!

Almanach ma przede wszystkim wartość dokumentacyjną, — jest dobrym, wiarogodnym przewodnikiem po literackim i kulturalnym Szczecinie, po pracowniach jego twórców, archiwach i bibliotekach, a nawet imprezach kulturalnych i to w retrospektywnym ujęciu od roku 1945.

Poeci i prozaicy zostali zaprezentowani w tej książce przy pomocy utworów, notek bioraficznych, a nawet fotografii tak, że nawet mało zorientowany w sprawach regionu czytelnik może wyrobić sobie o nich pewne pojęcie i wybrać argumenty do ich oceny, przede wszystkim artystycznej.

Jakże się ten literacki Szczecin przedstawia? Chętnie przyznaję, że — nieźle. Jest to — i tak zresztą być powinno — miasto pisarzy młodych, śmiałych i ambitnych, pragnących nawiązać trwały i żywy kontakt z tym, czym żyje i pasjonuje się cała literacka Polska. Objaw — szczególnie, gdy idzie o młodą szczecińską poezję — bardzo pocieszający, nic bowiem skuteczniej nie morduje dojrzewających zwłaszcza talentów, niż nakładanie im od kolebki regionalnego kagańca tematycznego.

Inna rzecz, że gdy prozaik szczeciński sięga po temat z przeszłości i teraźniejszości własnego miasta i regionu — wolałbym często, aby to czynił z większą odpowiedzialnością artystyczną, z większym poczuciem obowiązku rzetelnego nowatorstwa nie tylko podjętego problemu, ale i obranej dla jego realizacji techniki artystycznej. Przytoczę tu jako szczególnie plastyczny (choć nie jedyny) przykład na to niepokojące zjawisko — historyczne opowiadania Stefana Henryka Deskura. Przeszłość zostaje w nich pokazana co się zowie zgrabnie, sugestywnie i kulturalnie, ale w gruncie rzeczy — tylko poprawnie, bez najmniejszj próby zrewolucjonizowania czy odmiany tych sposobów narracji, konstrukcji bohatera i tła, jakich beletrystyka historyczna używa u nas co najmniej od czasu Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Druga sprawa, która dokucza w czasie lektury „Szczecina Literackiego", ' trudny i zawiły problem polskiej marynistyki. Zdawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w Szczecinie, mieście portowym, znaleźć powinni bazę i punkt wypadowy maryniści, których brak odczuwa boleśnie nasza literatura od czasu, gdy Polska stała się wreszcie naprawdę i bez cudzysłowu megalomanii państwem morskim.

Tymczasem szczecińskich marynistów przygniata obierana dobrowolnie skromność ambicji, pragnienie wyłącznie ilustracyjnego, winietkowego tematu. Przeczytajmy zresztą opowiadania Bączyka, szkice Daukszy, a nawet fragmenty esejów Gila, a zobaczymy najlepiej, jak pewne skrupulatnie odfotografowywane morskie realia pozbawiają narrację tych skądinąd ciekawych i pożytecznych prac naprawdę epickiego oddechu. Innymi słowy — zubożają ją o narzucający się przecież w intelektualnej refleksji rytm dramatu na wskroś ludzkiego, wynikającego z konfliktu człowieka z morskim żywiołem.

Dużą i niekłamaną przyjemność sprawia lektura młodej poezji szczecińskiej, której ilość i jakość dorównuje zupełnie Poznaniowi, a przewyższa — Toruń, Bydgoszcz czy Opole. Bursewicz, Liskowacki i ich młodociaki komilitoni (wśród których chyba przez pomyłkę znalazł się Tadeusz Chudy) — to poeci o dużej wyobraźni i umiejętności wsłuchania się w dramatyczny rytm życia. Brak im jednak niekiedy większej kultury i ogłady literackiej, a przede wszystkim silniejszego związku z rodzimą tradycją artystyczną. Eksperymenty i próby poetyckie — to rzecz niesłychanie cenna i cieszę się bardzo z ich śladów na stronicach „Szczecina Literackiego", sądzę jednak, że warto by zatroszczyć się również o tzw. szarego czytelnika, do którego le-

(Dokończenie na str. 12)

Studenci – kto zacz?

(List studentki)

URSZULA KOWALSKA

Pamiętamy gorące dyskusje o tematyce młodzieżowej, wszystkie pro i contra pod adresem młodego pokolenia, surową krytykę lub optymistyczne rozgrzeszanie wszystkich jego postępków. Zarzucano młodzieży brak jakichkolwiek zainteresowań, bezideowość a nawet cynizm życiowy — albo usprawiedliwiano ją warunkami, w jakich przebiegało jej wychowanie. Sprawa wychowania jest tu sprawą zasadniczą, ale niełatwą do rozszyfrowania. Metody podrywania zaufania młodzieży do rodziców i starszego pokolenia w ogóle nikomu nie przyniosły korzyści. Brak ideału wychowania, a właściwie ciągłe jego zmiany, nie mogły dobrze wpłynąć na kształtowanie się charakterów nastawionych krytycznie młodych.

Starcia dwóch różnych systemów społecznych i politycznych i antagonizmy, które towarzyszą zmianom każdego ustroju, odbiły się bardzo niekorzystnie na poglądach młodzieży, która była w ciągłej rozterce: co uznać za prawdę, a co za fałsz. Zmiany późniejsze niewiele wyjaśniły, ale na pewno idealnie pogmatwały poglądy młodych ludzi, którzy nie potrafili jeszcze prawidłowo oceniać faktów historycznych. Nie umieli tego zresztą nawet ludzie dorośli.

Jak wygląda to samo pokolenie, obciążone balastem niepewności i wątpliwości lat poprzednich, teraz? Zastrzegam się, że będzie to tylko próba oceny, subiektywne wnioski, jakie nasuwają mi się w codziennych kontaktach z lubelskim środowiskiem studenckim. Lublin jest w ogóle miastem o dość specyficznej atmosferze: kilka wyższych uczelni i wiele cech prowincjonalnego miasta, to doprawdy dziwny konglomerat. Wydawałoby się, że skoro Lublin ma zbyt mało atrakcji dla tak licznych rzesz studenckich, młodzież powinna tym gorliwiej zajmować się nauką. Czy tak jest w istocie? Nie. Jeżeli miasto nie posiada atrakcji w lepszym gatunku, młodzież decyduje się na to, co jest dla niej dostępne. Są właściwie dwie grupy studentów: jednych spotkać można zawsze w którejś z czytelni, innych widuje się tam o wiele rzadziej, bywają oni natomiast w nielicznych kinach lubelskich, filmowych klubach dyskusyjnych, w teatrze, operetce lub na gościnnych występach przyjezdnych artystów. I należy przyznać bezstronnie, że studenci stanowią bardzo poważny procent publiczności zapełniającej widownię, mimo że strona materialna tych eskapad pozostawia wiele do życzenia. Kilka wiecznie zatłoczonych kawiarni, w których miejsca o każdej porze dnia zdobywa się z niemałą trudnością ma również w studentach stałą klientelę. Zresztą nie tylko kawiarnie — nawet bardzo podrzędne restauracje, bo gdzież się można podziać poza uczelnią, czytelnią i akademikiem?

Tyle o sprawach dotyczących jakiegoś wyłącznie konsumpcyjnego podejścia do dóbr kulturalnych i nie tylko kulturalnych. A jak się przedstawiają próby samodzielnego tworzenia czegokolwiek, jak przedstawiają się te próby w środowisku studenckim? Ważny jest fakt, że są, uwieńczone większym lub mniejszym powodzeniem. To nieprawda, że cała młodzież nie ma żadnych zainteresowań i dążeń, że jest nieodpowiedzialna czy leniwa. We wszystkich czasach i wszystkich środowiskach są różne jednostki. A więc i dzisiaj są ludzie, uprawiający jedyną formę życia: wegetację wśród nudy i beznadziejności, której nie potrafią, a czasem nie chcą przełamać. Których, gdy są mężczyznami, jedyną ambicją życiową jest dostać dyplom ukończenia studiów i później ciepłą posadkę, a gdy kobietami — dobrze wyjść za mąż za pana z umeblowanym mieszkaniem, co więcej — z własnym samochodem. Na razie — codzienne kłótnie o drobiazgi, o to, kto ma sprzątać, umyć naczynia czy wyfroterować podłogę, stanowią wystarczające bodźce do wyładowywania energii życiowej. Do tego od czasu do czasu jakiś film, czasami inna rozrywka, wieczne opowiadanie wrażeń — i to wszystko. Ciaśniutki horyzoncik potwornej szarzyzny.

Ale są też inni ludzie — pełni inicjatywy i jak najlepszych chęci. Dobrym tego przykładem jest choćby amatorski zespół Naszego Teatru w Domu Kultury na Zamku, który skupia m.in. studentów. Wielu studentów należy do Zespołu Recytatorskiego mającego swą siedzibę także na Zamku. Trzeba dodać, że ci interesujący się teatrem czy poezją, to nie sami humaniści, lecz w przeważającej części chemicy, medycy czy biologowie. Znane są też próby tworzenia kabaretów studenckich, takich jak „Sex 2", występujący najpierw w piwnicy, a później w klubie pracowników kultury. Kabaret rozpadł się, gdy organizatorzy pokończyli studia i wyjechali z Lublina. Dotąd prosperują wspomniana Piwnica — studencka kawiarenka na Starym Mieście, oraz kluby, kawiarnie w blokach A i C Miasteczka Akademickiego. Nie są to duże próby stwarzania czegoś, ale są. Wielu studentów pracuje w kołach naukowych odpowiadających ich zainteresowaniom i pogłębiających ich wiedzę specjalistyczną.

Wspomniane próby przemawiają na korzyść młodego pokolenia Trudno w tej chwili ocenić, którzy studenci mają rację: czy ci, co na studia patrzą pod kątem swojej przyszłej pracy w ciasnym rozumieniu tego słowa, czy ci, co oprócz studiów specjalistycznych zdobywają ogólne wyrobienie i kulturę. Bardzo niewiele osób łączy w sobie obie te cechy.

Z kulturą, obiektywnie rzecz biorąc, jest bardzo różnie. Jej ciągły brak ujawnia się na ulicach, w lokalach, na zabawach i „potańcówkach", których nieodłączną atrakcją jest alkohol, nadużywany zresztą przez młodzież. Ale — czy tylko przez młodzież? Alkoholizm jest naszą plagą narodową. Tyle że młodzież robi to w sposób zbyt demonstracyjny, bardzo właściwy młodym ludziom wszystkich czasów.

Kultury brak naszej młodzieży nie tylko w miejscach publicznych: w sposób najbardziej jaskrawy uderza to na zagęszczonym terenie „akademika". Chyba nigdzie w Polsce nie ma takiego przeludnienia jak w Lublinie, gdzie w pokoikach pomyślanych jako czteroosobowe mieszka po sześć osób, a w dwuosobowych po cztery. Zimno w okresie natężenia mrozów (bo centralne ogrzewanie nie zostało w czasie wakacji odpowiednio wyremontowane), spaczone okna, wykańczanie od pół roku windy, popsute wanny i natryski — nie mogą natchnąć nikogo optymizmem. Na szczęście z każdym rokiem usterek tych jest coraz mniej. Mamy w „akademiku" pralkę elektryczną, ciepłą wodę i wiele innych drobnych udogodnień. Dobrze, że sprawy, które można załatwić, są załatwiane, ale źle, że nie można niczym zaradzić sprawom zasadniczym, codziennemu mimowolnemu ekshibicjonizmowi moralnemu i fizycznemu sześciu osób na przestrzeni kilku metrów kwadratowych. Brak miejsca, w którym można by pozwolić sobie na luksus samotności i spokoju, bardzo się daje we znaki. Być może stąd płyną częste rozdrażnienia, kłótliwość, nerwowość, a nawet histeria. Stąd też płynie lekceważenie wielu form ogólnie przyjętych wśród ludzi kulturalnych, na które jest słusznie uczulone starsze pokolenie. Stąd nieumiejętność wyboru właściwych form życia przy naturalnej zachłanności życia, która jest cechą charakterystyczną młodości. Stąd zarzuty, że młodzież jest niemoralna, — o ile przez moralność rozumiemy ciasny krąg spraw, które się potocznie tym mianem zwykło określać. Nie wszystko jest w porządku, daleka jestem od jakichś prób usprawiedliwiania. Poza stwierdzeniem faktu, że społeczność studencka jest ogromnie zróżnicowana i skomplikowana, nie potrafię wysnuwać żadnych wniosków ani szukać drogi wyjścia.

Wydaje mi się jednak, że życie samo rozwiązuje pewne problemy i że w przyszłości większość nas ma wszystkie dane po temu, by coś znaczyć w społeczeństwie.

Może poglądy moje są zbyt optymistyczne, ale optymizm jest właściwością ludzi młodych, którzy mają nadzieję na przyszłość. Może potraktowałam te sprawy zbyt subiektywnie. Głos mój nie powinien być zresztą odosobniony, i chyba wywoła płodną dyskusję.

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ZIEMI LUBELSKIEJ

otrzymał I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie w Agrigento

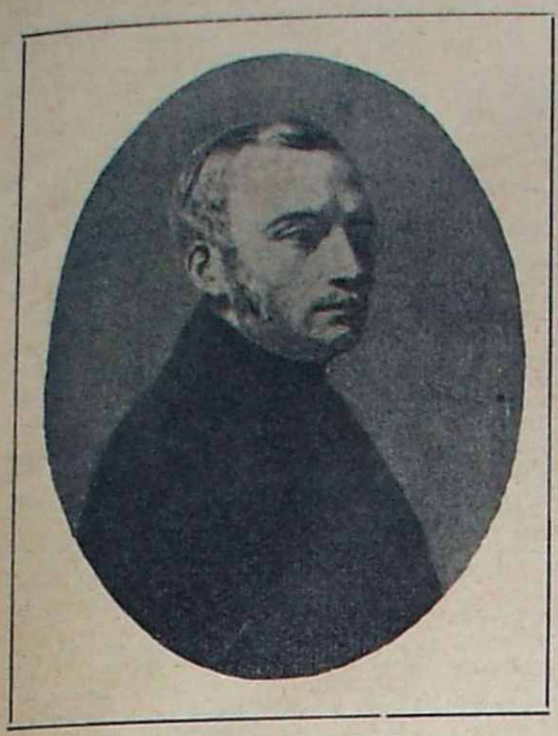

Stulecie śmierci ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

JAN NEPOMUCEN MILLER

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili?

W roku bieżącym mija 100 lat od śmierci Zygmunta Krasińskiego. W Polsce Ludowej, jak wiadomo, Krasiński nie ma dobrej marki. Gdy Mickiewicz, Słowacki doczekali się nowych wydań swoich dzieł, gdy nakłady i rozpowszechnienie dzieł Mickiewicza przekroczyło znacznie liczby przedwojenne — o Krasińskim wciąż dotąd jest głucho, jest on kłopotliwą, dyskretnie pomijaną historyczną pozycją.

Ma to, oczywiście, swoje uzasadnienie, kto wie jednak, czy w pełni tak słuszne, jak by się wydawało.

Budownictwo socjalistyczne szuka sprzymierzeńca w literaturze i w historii, wydobywa z pyłu zapomnienia te pozycje kulturalne i ludzi, których dałoby się spokrewnić z nurtem odnowy, związanej z przemianami społecznymi chwili bieżącej.

Stąd żywe zainteresowanie Mickiewiczem, Słowackim, jako zwiastunami myśli demokratycznej w Polsce, stąd rehabilitacja i intromisja do panteonu chwały narodowej wielu zapomnianych czy niedocenionych postaci historycznych (Jakub Jasiński, Edward Dembowski, Jarosław Dąbrowski, Walerian Wróblewski, ks. Ściegienny i in.)

Wszystko to ma za sobą niemało racji i uzasadnienia życiowego w potrzebach chwili, w krzywdzącym zniekształceniu przeszłości przez historiografię Polski międzywojennej, w żywym nurcie przełomowych zmian, jakie zachodzą w Polsce współczesnej.

Żyjemy jednak w okresie gorącym — rewolucyjnej przebudowy stosunków. W okresach takich dość trudno jest się zdobyć na względnie obiektywną miarę zdarzeń i osądu. Gorączka i pośpiech chwili, pościg za doraźnym uogólnieniem, mającym ułatwić regulację stosunków, nie bardzo sprzyja zajęciu właściwego dystansu wobec ludzi i rzeczy, perspektywicznej ocenie historycznych formacji.

W karykaturalnej postaci ujawniło się to w pierwszym dziesięcioleciu naszej nowej historii, niemało jednak obciążeń tego typu cechuje i chwilę obecną.

W sposób zbyt ryczałtowy, wygodny i powierzchowny zbliżamy się do wielu zjawisk, oceniając je wyłącznie z punktu widzenia ich doraźnej użyteczności. Po wtorku i środzie zdarzeń następuje nieuchronnie jednak czwartek i piątek dziejów — i dobrze by było nawet w refleksjach wtorkowych uwzględnić dialektykę rozwoju dziejowego chociaż dni kilku Wielkiego Tygodnia dziejów.

Cóż łatwiejszego więc, wracając do Zygmunta Krasińskiego, powtórzyć po raz setny to co stwierdzono już zresztą zarówno teraz, jak i nawet w Polsce międzywojennej, a nawet jeszcze przedtem (monografia J. Kleinera o Krasińskim wyszła w r. 1912), że Krasiński był zachowawcą i arystokratą, wrogiem rewolucyjnych przemian i wszelkiego radykalizmu społecznego i że w związku z tym — w epoce tych przemian, jakie zachodzą w chwili obecnej — trzeba go raczej minąć niż zatrzymywać się przy nim.

Lecz do Krasińskiego można się zbliżyć nie tylko od strony jego ideologii, jest on przecież artystą i poetą, zachodzi więc kwestia, czy nawet walcząc z jego ideologią (której zresztą nie da się tak prymitywnie oszacować, jakeśmy to przykładowo uczynili, możemy go minąć jako twórcę słowa?

Wróćmy jednak nawet do tej tak nieporęcznej dla nas ideologii poety.

Na wstępie uwaga ogólna.

Daremne są próby oceny twórczości artystycznej miarą jej zgodności z poręcznymi uchwałami ze środy na czwartek, gdyż po pierwsze — wskazania te przeczą lub mogą przeczyć uchwałom tej samej kongregacji z czwartku na piątek; po drugie — twórczość artystyczna ma trwałość znacznie dłuższą — (vita brevis — ars longa...), artysta tworzy w perspektywie wieków (niezależnie od tego czy mu się to udaje, ale niejaki Homer, Dante, Szekspir wytrzymywał tę próbę). Stosowanie więc do jego dzieła ułomnej i dziennikarskiej miary potrzeb dnia dzisiejszego jest oceną nie mającą nic wspólnego z wartościowaniem estetycznym. Dzieło sztuki może mieć punkty styczne z dążeniami społeczno-politycznymi, lecz jest mimo wszystko formacją innej kategorii, niezależnie od tego, że te warunki wpływają na jego powstanie. Nie można objętości mierzyć miarą długości, choć tę miary spokrewniamy umownie, mówiąc o metrze sześciennym i metrze jako mierze długości. W obu wypadkach są to zjawiska zgoła niewspółmierne.

Wiedział o tym dobrze Karol Marks, omawiając twórczość Balzaka i Heinego. Ten sam Marks, omawiając we „Wprowadzeniu do krytyki ekonomii politycznej" nierównomierny rozwój rozmaitych form kultury powie: „...grecka sztuka i epos są związane z pewnymi społecznymi formami rozwoju. Trudność polega na tym, że dostarczają nam one jeszcze rozkoszy artystycznej i w pewnej mierze służą za normę i niedościgniony wzór. Mężczyzna nie może się stać znów dzieckiem, chyba że zdziecinnieje. Ale czyż nie cieszy go naiwność dziecka i czyż nie musi on sam dążyć do tego, by na wyższym szczeblu odtworzyć swoją prawdziwość? Czy w naturze dziecka nie odżywa w każdej epoce jej własny charakter w jego naturalnej prawdziwości? Dlaczego historyczne dzieciństwo ludzkości, tam gdzie się rozwinęło najpiękniej, nie ma czarować wiecznym powabem jako nigdy nie powtarzający się stopień?"

Spróbujmy zastosować tę tezę do Krasińskiego.

Dlaczego nie ma on dostarczyć rozkoszy artystycznej, choć tę czy inne jego myśli i wskazania nawet w jego epoce grzeszyły „naiwnością dziecka", lecz trudno im odmówić „naturalnej prawdziwości" (nazwalibyśmy ją obecnie „względną"), harmonizującej jednak z niedojrzałością dziejową Krasińskiego i ograniczonością jego klasowego stanowiska? I czyż ta właśnie harmonia nie może nas „czarować wiecznym powabem jako nigdy nie powtarzający się stopień"?

Powołując się na te słowa nie bardzo zresztą jestem pewien, czy ten stopień nigdy się nie powtarza. Wydaje mi się raczej, że jest to zjawisko dość częste, nie przeczy jednak możności napawania się artystycznego przejawami dzieciństwa ludzkości czy niedojrzałości dziejowej właśnie tam, gdzie z „naturalną prawdziwością" przedstawia się rzeczy choćby nieprawdziwe czy pojęte mylnie, lecz harmonizujące treść z formą i wyraz z mającą być wyrażoną treścią, choćby tak prymitywną i urągającą wielu współczesnym pojęciom jak to się dzieje u Homera.

Naiwnością by było domagać się od arystokraty, jakim był Zygmunt czy Wincenty Krasiński, by operowali humanistyczno-demokratycznymi pojęciami inteligencko-drobnoszlacheckiej sfery Mickiewicza czy Słowackiego, nie znaczy to jednak wcale, byśmy nie mogli, oceniając w pełni względną naiwność czy kastowość jego sądów i przekonań polityczno-społecznych — napawać się tworami jego pióra jako dziełami sztuki.

Zresztą — nawet świat jego pojęć, sądów i przekonań, jeśli się zbliżyć do niego z tą miarą perspektywy dziejowej, która wydłuża promień wodzący dzieła sztuki poza dziś i jutro — daje się w pewnym wyborze z wielu względów zbliżyć do naszej współczesnej wrażliwości a nawet potrzeb.

Czyż to głębokie i odkrywcze przeżycie dwudziestoletniego młodzieńca, piszącego „Nieboską" — o konieczności wyjścia poza sztukę, o poezji, która powinna przepajać treść życia, a nie być treścią od niej odrębną, dla uciechy innych i oklasku dla twórcy, czyż ta myśl, która tłumaczy dzieje upadku i klęski życiowej bohatera „Nieboskiej", hr. Henryka, czyż nie jest ona nie tyle w sformułowaniu, lecz w intencji bardziej wszechstronną (bardziej „wieczną"...) formułą współczesnego życia do przepojenia dzieła sztuki treścią dążeń społecznych?

Cóż z tego, że jest to formuła szersza i pojemniejsza niż to, co wielu z nas chciałoby w nią włożyć, ale może dlatego jest ona trwalsza i może nawet istotniejsza od aktualnej próby oprawienia jej w przyciasne ramy zbyt ograniczonych i krótkotrwałych potrzeb, które doraźnością swoją zabijają jej sugestię artystyczną, domagającą się wydłużenia ramienia jej zasięgu w czasie i przestrzeni?

Czy nie dlatego czasem aktualność wielu współczesnych, nawet wartościowych w dniu dzisiejszym dzieł sztuki nie trwa dłużej od aktualności artykułu dziennikarskiego, z którym rywalizują w doraźności i powszechności uznanych za godziwe w danej chwili sądów i opinii?

Obraz walki społecznej na kartach „Nieboskiej" jest oczywiście klasowo jednostronny, zdradzający tę „naiwność dziecka", o której Marks wspomina w cytowanym ustępie. Niezależnie jednak od realnych pozytywów tej walki, której zahukany przez ojca i zamknięty w swej sferze młody hrabicz nie dojrzy, nie oceni, nie zrozumie — jego krytyka negatywów obydwu stron walczących zdradza spostrzegawczość i przenikliwość wcale nie młodzieńczą i bynajmniej nie tak klasowo zgoła ograniczoną.

Jest w niej głębokie odczucie nędzy i upośledzenia „skrzywdzonych i poniżonych", jak obraz tego konającego rzemieślnika, dla którego już nie ma żadnej nadziei ani pociechy. Stoi mu przed oczyma „głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek", „jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysięcy".

Jest potępienie i pogarda dla swojej klasy, skazanej na zagładę i ginącej bez honoru. „Mąż" jako jedyny i „ostatni" przedstawiciel chwały przeszłości tej klasy, właśnie, jako wyjątek jest potwierdzeniem sumarycznego osądzenia całej warstwy.

Nie jest to więc wcale tak dalekie od naszego teraźniejszego oświetlenia tej sprawy, choć przyszłość Krasiński uzależnia oczywiście nie od wyników tej walki społecznej, w której osadza obydwie strony walczące, lecz od realizacji wskazań etyki chrześcijańskiej.

Z niemniejszą spostrzegawczością, opierając się na wzorach Rewolucji francuskiej, uwidoczni również typowe wynaturzenia zwycięskiej rewolucji w w stosunku do jej idei przewodnich. A więc przejawy „kultu jednostki"

(Dokończenie na str. 4)

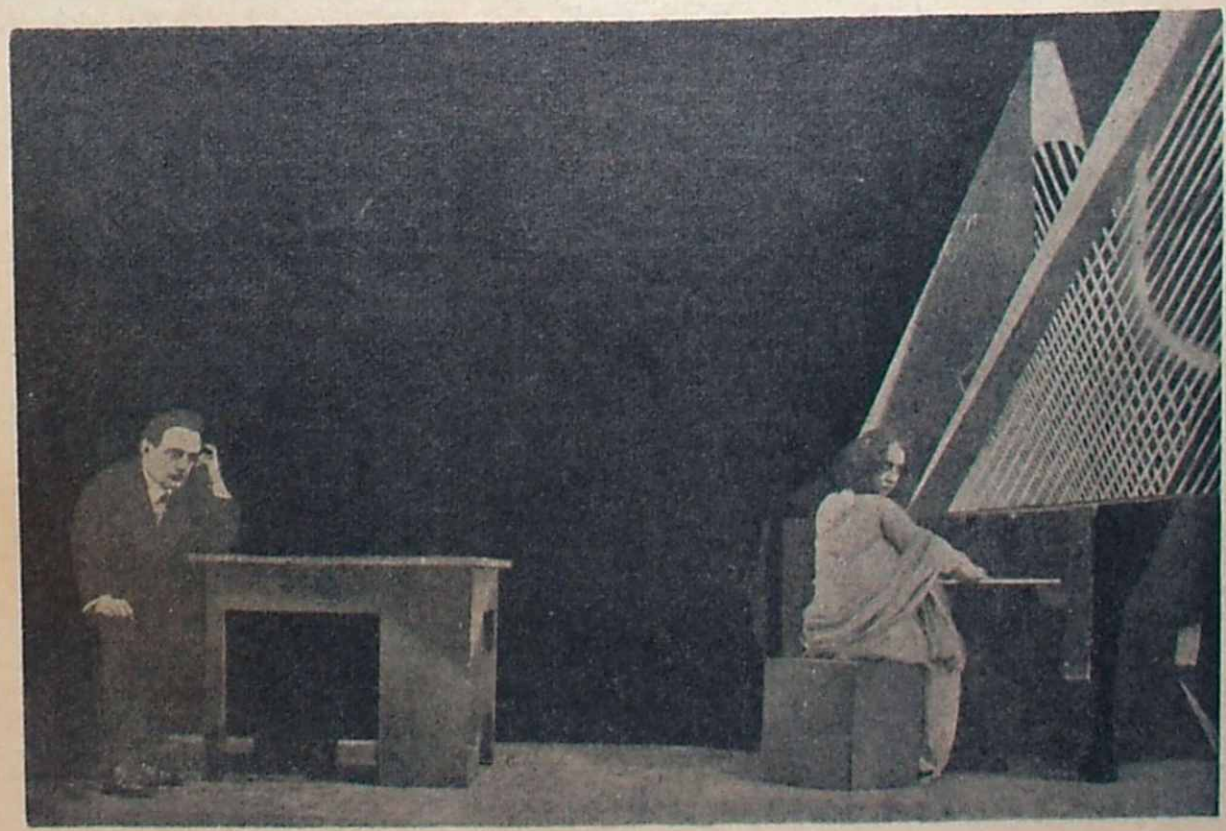

NIEBOSKA KOMEDIA
Mąż — Karol Adwentowicz, Żona — Irena Solska

(Dokończenie ze str. 3)

(Pankracy), pasożytowanie grup kombinatorów i spekulantów na ofiarnym wysiłku tysięcy i milionów, rozbestwienie motłochu tak bliskie nihilizmu naszej mnożącej się z dnia na dzień chuliganerii, podział na przelicytowujące się w swej roli i zasługach wobec społeczeństwa — grupy zawodowe, znane nam aż nazbyt dobrze wolne związki erotyczne, lekceważenie kobiety i dziecka, wyłanianie się i „alienacje" klanu „pięknoduchów" (Leonard), separujących się od kontaktu z masą... Wszystkie te tak dobrze nam znane negatywy aktualnych przemian społecznych (obok pominiętych przez autora historycznych i najistotniejszych zdobyczy rewolucji społecznej) uwidacznia Krasiński z niemałą wyrazistością, pozwalając nam przyjrzeć się sobie w krzywym, wyolbrzymiającym złe strony, zwierciadle swego dzieła.

Nie sądzę jednak, by ten pokaz był dla nas bezużyteczny. Pozwala on uświadomić sobie grozę tych wynaturzeń, które zawsze mogą grozić każdej próbie nowego przepostaciowania stosunków społecznych i na co trzeba mieć oczy otwarte.

Słusznie Juliusz Kleiner w swej monografii o Zygmuncie Krasińskim podkreśla, że „Nieboska" jest wprawdzie obroną przeszłości — ale bynajmniej nie jest obroną partii przeszłości. Tę bowiem Krasiński potępia i osądza na równi z partią przyszłości, choć zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że ta przyszłość musi się zasadniczo różnić zarówno od przeszłości jak i od teraźniejszości.

Niedarmo przecież Krasiński był heglistą i zdawał sobie sprawę z zapładniającej roli dialektycznych przeciwieństw. Dlatego to w „Nieboskiej" przedstawił grozę i zbrodniczość walki rewolucyjnej, lecz konieczności jej bynajmniej nie zaprzeczał.

Pomijając niewczesne dla nas późniejsze idee mesjaniczne Krasińskiego, jego wiarę i przeświadczenie o roli przodowniczej w dziejach tej uświęconej przezeń jawnogrzesznicy, jaką była Polska szlachecka — nie był on jednak bezkrytycznym panegirystą wszystkich jej występków. Zdarzało mu się zachodzić w progi odstępstwa i świętokradztwa. Nie była mu obca demoniczna zaduma nad potwornym urokiem zła. Niedarmo stworzył najpiękniejszą chyba postać szatana romantycznego, nie wyłączając Lucyfera Byrona — numidyjskiego starca pustyni, który czuwał nad myślą i wolą Irydiona dławiąc go z potęgą większą od intelektualnej sofistyki Mefistofelesa.

Nie, nie jest Krasiński wielbicielem przeszłości.

Nie kto inny, lecz on właśnie zdjął Słowackiemu z oczu te różowe okulary, przez które tęczowy poeta patrzył na przeszłość. To on narzucił Słowackiemu tę prowokacyjną niemal i obelżywą prawie wizję przeszłości, jaką Słowacki rozsnuł w „Grobie Agamemnona", który jest przecież tylko poetycznym rozwinięciem pełnych bólu i sarkazmu słów Krasińskiego: „U nas było ogromne nic. Ni cnota ni niegodziwość, ale mezzo termino — błazeństwo. Ni sroga tragedia, ni idylla niewinna ale mezzo termino: farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu".

Przypomnijmy również, że w „Przedświcie", snując wizję tej przeszłości— ze wszystkich królów i hetmanów Polski szlacheckiej na jej symbolicznego i najszlachetniejszego reprezentanta wybiera nie kogo innego, lecz tego, który „ani z soli, ani z roli, ale tego co go boli" — wyrósł — Stefana Czarnieckiego — hetmana, którego nazwalibyśmy obecnie może najbardziej „demokratycznym", wodza, który z wojskiem partyzancko-ludowym odpierał najazd wroga i nie wahał się stawać w obronie praw tego ludu.

W „Irydionie" natomiast, najpiękniejszym, najtrwalszym ze wszystkich dzieł swoich, dał wyraz przeświadczeniu o postępowej ewolucji ludzkości, w której ramach i jego naród dojrzeje do wyzwolenia przez „pracę wieków", przez czyn i wysiłek — bez przerwy, bez wytchnienia.

„Irydion" — to jedno z największych arcydzieł naszego romantyzmu, punkt szczytowy, któremu ani jego autor, ani jego wielcy rywale i poprzednicy w żadnym z dzieł swoich nie zdołali dorównać.

Jedno z podstawowych założeń poetyki romantycznej — ujawnienie zmysłu historycznego, który ukazuje wielkość istnienia w czasie i przestrzeni we właściwym sobie konkretnym zabarwieniu — w „Irydionie" ze wszystkich dzieł naszego romantyzmu do najpełniejszego dochodzi wyrazu.

I nie tylko chyba naszego romantyzmu.

Czyż „Cromwell" i „Hernani" Wiktora Hugo — mimo przełomowej roli, jaką te dzieła wtedy odegrały, nie są raczej podmiotową stylizacją historycznego obrazu o zamglonym kolorycie miejsca i czasu?

Krasiński w „Irydionie" daje pełnię swoistą odrębnego istnienia, pulsującego bogactwem indywidualnych kształtów.

Nie jakiś jeden czołowy bohater, jak to się dzieje zawsze u Byrona, jest upostaciowieniem woli i uczuć poety. Autor rozdziela swoje stany duchowe na różne — nawet wrogie pozornie sobie postaci (np. Heliogabal, Masynissa) przepajając je siłą dławionej w sobie przez wolę i intelekt pasji, dzięki czemu nabierają one pulsującej prawdy życia, stając się naturą w swej nienaturalności, prawdą w swym fałszu i celowym wykrzywieniu.

Krasiński w „Irydionie" daje nam wzór możliwości wczucia się w odrębną osobowość, podległą prawom swego autonomicznego rozwoju; ukazuje nam obraz dziejowy w jego zróżniczkowaniu i rozszczepieniu, w walce sprzecznych pierwiastków, które uzyskują prawo do swego dobra i piękna.

Ten względny realizm historyczny autora „Irydiona" podporządkowany jest zasadzie artystycznej stylizacji, która oprawia obraz w ramy przeżyć indywidualnych jego twórcy.

Piękno, rytmika, muzyka poetyckiego słowa „Prologu" i „Epilogu" „Irydiona" nie zna sobie równego w języku polskim aż po dzień dzisiejszy — i ten, któremu nie było sądzone zetknąć się i przeżyć miażdżącego uroku tej jedynej i najpełniejszej w swym działaniu mowy polskiej — zostanie ubogi duchem, kaleki i ułomny, niezdolny do przeżycia największego majestatu polskiego słowa.

Wobec zaś nużącego trajkotu, nie dającego się przeżyć słuchowo i rozczłonkować na harmonijne cząstki i kadencje rytmiczne naszej współczesnej prozy beletrystycznej, proza „Irydiona" jest osamotnionym na stulecia cyplem skalnym indywidualnego wspięcia się poety, któremu tylko Słowacki w „Anhellim" a później — i aż do dni dzisiejszych — jeden tylko Żeromski w „Udałym Walgierzu" i w „Dumie o hetmanie" starali się dorównać.

Nie wahałbym się zaryzykować twierdzenia, że brakowi tego zbliżenia się i przeżycia estetycznego prozy poetyckiej Krasińskiego należy przypisać cały wyścig jałowego gadulstwa i tybetańskiego warkotu wielu współczesnych młynków literackich, mielących bez końca dawno zmielone na proch i popiół plewy, osłaniające niegdyś zdrowe ziarno myśli.

Niezależnie jednak od budzącej człowieka z „drzemki wieków" — harmonii i instrumentacji poetyckiego słowa Krasińskiego, ileż głębokiej, humanistycznej treści tkwi w samej tylko obrazowości poety, którego stać na to, by pulsem żywego i skrzywdzonego serca ludzkiego wypełnić przestrzeń i pustkę zmarłego świata:

„Pojrzał syn wieków... Każda ruina była mu nadgrodą: i niziny, wdowy amfiteatrów i wzgórza, świątyń sieroty" —

Kogo stać było na to, by w tak bliski i „rodzinny" sposób spokrewnić tak dalekie i obce sobie układy przedmiotów, żeby przez „owdowienie" amfiteatrów pokazać dopiero jałową pustkę niziny i przez „osierocenie" wzgórza dopatrzeć się tragizmu jego haniebnego obnażenia — ten człowiek, niezależnie od tego, że się uważał za wrogiego historycznym formom przemiany społecznej — arystokratę czy wyklętego przez ludzi odstępcę i wygnańca — miał serce dość wrażliwe i mimo skazy cierpiących ciągle oczu wzrok dość dalekosiężny, by odczuć i poddać nam urok i piękno historycznej walki w obronie skrzywdzonych, osieroconych, owdowiałych, kalekich...

„Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich a zbawion będziesz" — napomni Anioł Stróż Męża.

Niech nas nie zraża tak obca nam obecnie filantropijna formuła tego napomnienia moralnego, wyjętego nie tylko ze wskazań Pisma, lecz i wersetów nieobecnych Krasińskiemu ówczesnego saint-simonizmu. Romantyzm francuski z dostateczną wyrazistością malował nędzę i upośledzenie klas najniższych, by Krasińskiemu przy jego wrażliwości niezależnie od własnych przeżyć w kraju i poza krajem mógł pozostać obcym ten wykrój życia, warunkujący napięcie walk politycznych i społecznych epoki. Mógł sobie drwić po wielkopańsku tu i ówdzie z „hołyszów", targających się na wszystko, co z tradycji i dziedzictwa było mu święte i drogie, nie odmawiał jednak on, potomek rycerskiego rodu i intelektualista połowy XIX wieku tym „hołyszom" prawa do nienawiści, walki i rekompensaty krzywd, których doznali.

„Za to, żeś nic nie kochał, prócz siebie i myśli swoich, potępion jesteś, potępion na wieki".

Osądzając tak oderwaną od siebie cząstkę własną, żyjącą własnym życiem hr. Henryka w „Nieboskiej" Krasiński nie mógł być tak prostaczym zawalidrogą postępu, za jakiego się go uważa.

Jest on klasycznym przykładem tego jak nieorganicznie potrafi się w dziele artysty zrastać narzucona czy nawet przyjęta (jak u Krasińskiego) ideologia z tworzywem od wewnątrz organizującego się słowa.

Gdy porównamy potęgę i walor twórczego słowa poety w wymienionych, czołowych jego dziełach z przeżutą miazgą tego słowa w „Psalmach przyszłości" — w jego polemice ideologicznej — z twórczą i płodną myślą społeczną Henryka Kamieńskiego lub jałowe i czcze kazalnictwo „Psalmu żalu" w stosunku do Słowackiego — pełne bezwładu tak powolnego mu w innych dziełach słowa — zrozumiemy raz jeszcze starą, lecz nigdy nie przebrzmiałą prawdę, że tylko odkrywcza forma artystyczna jest świadectwem organicznego rozrostu żywej i twórczej myśli. Że wszystkie najsłuszniejsze nawet z pewnego punktu widzenia i najbogobojniejsze ideologiczne kazalnictwo niewiele ma wspólnego ze sztuką i niesłusznie się je wplata w łańcuch rozwoju artystycznego twórcy.

Nie łudźmy się nadto, że dziwaczne na pozór załamanie się artystyczne Krasińskiego od „Nieboskiej" i „Irydiona" do „Psalmów" czy „Resurrecturis" i „Dnia dzisiejszego" jest jego tylko udziałem. W rozwoju twórczości wielu współczesnych pisarzy te same dysproporcje aż nazbyt łatwo można unaocznić, trudniej natomiast byłoby wskazać te wyżyny maksymalnego wspięcia się artysty, jego górnego lotu, którego pułap usprawiedliwiałby prawo do poziomu jego faktycznej w następstwie degradacji.

Zresztą nawet w tych słabszych artystycznie dziełach znajdujemy pewien zaród myśli, świadczącej o próbie wyjścia poza indywidualizm romantyczny, dążenie do upostaciowania w obrazie poetyckim formy powiązania społecznego wielości — w nadrzędną jedność zawiązującej się wspólnoty, która by była czymś innym i wyższym od składowych cząstek.

Najistotniejsze dla nas obecnie zagadnienie dotyczące formy współżycia zbiorowego w komunie przyszłości i jego wpływu na życie indywidualne jednostki, kształtujące się obecnie na tle zarówno pozytywnych jak i negatywnych doświadczeń i doznań lat minionych — zagadnienie to nie było obce uczniowi Hegla, Schellinga i Cieszkowskiego. Rozwijał je w „Przedświcie", w „Psalmie dobrej woli", w „Ułamkach naśladowanych z glossów św. Teresy". Utwory te stoją wyżej od pozostałego dorobku literackiego lat ostatnich, dorobku, w którym propaganda społeczna i zapał polemiczny utrudnił mu opanowanie formy artystycznej.

W „Przedświcie" tedy rozwija symboliczny obraz tej nadrzędnej, ponadindywidualnej jedności, rodzącej się z komuny miłosnej dwojga kochanków:

„Z dusz się naszych wzbił Duch trzeci,
Wyższy od nas — niepojęty".

W jednym z listów do Delfiny Potockiej — Beatrycze z „Przedświtu" — rozwija zasięg społeczny i kosmiczny tej komuny miłosnej: „Byliśmy jako cud, otoczony cudem... Serce moje i wyobraźnia mogłaby się zatracić w panteistycznym zanurzaniu się w tych pierwszych chwilach naszego my... bo to nasze my... jak wszystko co się rodzi i żyje, musiało się później rozwijać, by dojść do kształtu całkowitego dopełnienia swego!"

Dla Krasińskiego miłość jest nie tylko spoiwem komuny miłosnej kochanków, lecz i jedyną zasadą regulacji społecznej, komuna więc miłosna jest mikrokosmem makrokosmu społecznego współistnienia (podobnie jak dla Mickiewicza w „Księgach narodu" gdy mówi o mistycznej symbolice unii Polski z Litwą).

Te niejasne, mistyczne i mętne symbole, gdy je przymierzyć do naszych doświadczeń dziejowych — i wizji bezklasowego społeczeństwa przyszłości — nabierają wyraźniejszej dla nas treści społecznej.

I my się stykamy ustawicznie z niebezpieczeństwem szkodliwego dla społeczeństwa wyobcowania się jednostki ze swego środowiska — i my, budując socjalistyczne społeczeństwo, wierzymy, że komuna przyszłości powinna być tą „trzecią" formą bytu — wyższego od życia indywidualnego lub atomistycznie rozszczepionej zbiorowości.

Po tylu peanach nawet współczesnych na temat wiecznotrwałych wartości „narodowego" charakteru „Pana Tadeusza" czas by było zbogacić tę zubożałą na tle takich interpretacji współczesną psychikę narodową przez kontakt ze starganą i sprzeczną w sobie myślą poety, która nie mogąc w wielu dziełach znaleźć dla siebie dorównanej formy, nie ukształtowała się na tyle, by mogła zarażać i poddawać. Była raczej szkicem myśli, zgonionej w walce polemicznej, niedojrzałej do swego kształtu.

Natomiast tam, gdzie ta myśl znalazła właściwą sobie formę — stwarza poeta arcydzieło, przed którym każde pokolenie polskie winno pochylić czoła.

Ułomności tych aż nazbyt świadom jest sam poeta, mówiąc z bolesnym zgryzem: „Bóg mi odmówił tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta..."

Mierząc go jednak skromną miarą ludzką — tego co zrobił — wystarczy z nawiązką, by go uczcić nie tylko wspomnieniem, lecz by od niego się czegoś i to niemało — nauczyć.

Jan Nepomucen Miller

STULECIE ŚMIERCI Zygmunta Krasińskiego

BRONISŁAW KAMIŃSKI - DUROCHER

Muzyka żywiołów

Cisnął się wiatr w rozwarte gwiazdy
ogromne niebo ciemności
kłębek człowieczego bólu: ziemia.
Każde wzruszenie odpływa od prawdy
jak zabłąkany pościg
za śladami przemian.

Morze, głębokie bezkresne i niczyje
zamknięte w granicach lądów
jak w pułapce na sny
z których każdy pod topór oddał szyję
obarczony ciężarem przesądów
idących przez mgły.

Wodo wielka, żywiole ciszy i niszczenia
jak ulubieniec się kłębi w tobie wiatr
burza namiętna zła i ślepa.
Podarte okręty jak skrawki cienia
pioruna ognisty kwiat
w uśmiechu gwiazdy przepadł.

A ziemia jest żywiołem pracy i wojny
i strumyk co przedziera przez bór
rękami ludzkimi uczynił światło
jak o tęczę oparty horyzont polny.
Na miasta kamienny mur
bagnetem słońce opadło.

I ogień, co nie spala serc lecz ciała
pigułka mistyki popita alkoholem
zwykły pożar kamienic
łuna się o ręce ludzkie zapala
i rośnie w gwiazdy nad popiołem
tańczącej śmierci i promieni.

Suszo, nieustannie spragniona kąpieli
wodotrysk natchnień w każdym okrzyku
trujące żądło i głowa zarazy
upadły na piersi anielic
z których kowal czerwień wykuł
materię umiejącą marzyć.

Lecz największym żywiołem jest śmierć
lub wiecznie zmienne życie
kalejdoskop przedstawień i walk.
Wszystkie zęby muszą jeść
Wszechświat napełnił się wyciem
hien które trawią żal.

I jest to muzyka która gra
opętana szalona i wszechobecna
siostra czasu i przestrzeni
wpływa łodzią w wielki strach
baletnica która przeszła
w pęczniejący wir zieleni.

O POECIE
który możnym się nie kłaniał

(NIEUDANY MECENAT
ADAMA K. CZARTORYSKIEGO)

ALINA ALEKSANDROWICZ

Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie,
Nikt mnie jednak przy podłej nie zastał robocie,
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,
Nieprzyjaciół skrytymi podstępy nie gubię...

To wyznanie młodego starościca korytnickiego, zdolnego poety wieku Oświecenia, uważać można za celny drogowskaz orientujący nas nie tylko w jego przekonaniach literackich, ale i w postawie wobec świata. Twórczość Kajetana Węgierskiego, pisarza nie docenianego za życia, a zapoznanego po śmierci, należy w literaturze stanisławowskiej do zjawisk niezwykle rzadkich. W dobie powszechnego mecenatu, zależności pisarza od możnego, uczonego, a zarazem dobroczynnego patrona, potrafił wyłamać się spod owych niepisanych praw, które kazały rezygnować niekiedy z własnego zdania czy gustu, a nawet rymować przy nadarzającej się okazji wiersz pochwalny, składny panegiryk lub okolicznościową odę. Co więcej — on jeden odważył się tę niepodległość sądu manifestować na każdym kroku: kosztem kariery, którą otwierał mu niepowszedni „dowcip" literacki, za cenę odrzucenia niezależności materialnej, o której z cicha snuł plany. Owa nieugiętość i miedziane czoło zaprowadziły wprawdzie poetę do wieży, w której przebywał przez rok i sześć tygodni, kazały w 24 roku życia złamać pióro wyćwiczone już w ciętych, satyrycznych i libertyńskich wierszach oraz wyemigrować za granicę, nie załamały jednak w pisarzu dumnego, często nawet hardego, ale niezależnego człowieka.

I mnie też to nieszczęście sprawiło i biedę,
Że się nie czołgam, ale moim krokiem idę,
Lecz chociażbym do zgonu miał być nieborakiem,
Wolę być lwem w nieszczęściu, niż szczęsnym ślimakiem.

Dlatego też młody starościc korytnicki nie będzie należał do tych ludzi, którzy zwiążą się na stałe z siedzibą Czartoryskich — lub dworem królewskim w Warszawie. Niemniej był poetą, którego Czartoryski znał i któremu Puławy nie były obce.

Pierwsze kontakty z księciem nawiązane zostały po ukończeniu przez Węgierskiego Kolegium Jezuickiego w Warszawie. W roku 1771, 15-letni poeta rozpoczął współpracę z nowozałożonym pismem literackim, stawiając pierwsze kroki pod wytrawnym okiem swego dawnego nauczyciela poetyki i retoryki — Adama Naruszewicza. Kontakty z „Zabawami Przyjemnymi i Pożytecznymi" umożliwiły mu znajomość ze Stanisławem Trembeckim i Ignacym Krasickim, zjednując mu również względy osób zajmujących się literaturą, jak np. A. K. Czartoryskiego. Ślad tej znajomości znajdziemy w dedykacji jenerałowi ziem podolskich przekładu powieści moralnych Marmontela, wydanych w roku 1776. Przyszły autor „Organów", poświęcając tę jedną z pierwszych prób swojej zdolności księciu, zaznacza, iż jest pełen uznania dla mecenasa, który nie tylko proteguje, ale i sam pielęgnuje naukę. Czy jednak owa „protekcja" i hojność patrona objęły i zdolnego poetę? W tymże roku 1776 — podobnie jak w 1775 — widzimy T. K. Węgierskiego na skromnym stanowisku kancelisty w Departamencie Sprawiedliwości Rady Nieustającej. W roku następnym, z powodu memoriału przeciwko sądownictwu polskiemu, które nie zareagowało na bezprawne zagarnięcie wioski będącej w posiadaniu Węgierskich — młody poeta odsiaduje wieżę, tracąc jednocześnie posadę w Radzie. Względy mecenasów utracił już wcześniej.

Skąd tak fatalny zwrot w dziejach poety? Wzmianki o tych kwestiach są niecałkowite i pełne dwuznaczników, niemniej w konfrontacji z twórczością pisarza pozwalają domyśleć się przyczyn takiej sytuacji. Pewien udział w tych sprawach odegra i nieudany mecenat Czartoryskiego.

Istnieje znany wiersz Węgierskiego o żonie puławskiego patrona — Izabelli z Flemingów. Umieszczony obok czterech innych literackich portretów, przynosi niecodzienną i dość rzadko w naszym piśmiennictwie oficjalnym spotykaną charakterystykę.

Poeta pisze o Czartoryskiej z niepozbawionym złośliwości wdziękiem:

Przyjemności w dowcipie swoim ma tak wiele,
Ile wdzięków w powabnym i kształtnym jej ciele,
Ma dziwactwa zawziętość, i razem jest płocha,
Bez przyczyn nienawidzi i bez przyczyn kocha,
Dzieciom wielką, mężowi miłość chowa mierną,
Umie być Penelopą razem i niewierną.

KAJETAN WĘGIERSKI
Litografia nieznanego autora

Ciekawą wiadomość o tym właśnie wierszyku znajdziemy w pracy I. Chrzanowskiego pt. „Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku". Znany historyk literatury, zastanawiając się nad czasem powstania utworu udowadnia:

Otóż jest to wiersz młodociany, pochodzi prawdopodobnie z roku 1774 albo 1775, o ile słusznym jest przypuszczenie, że jest to odpowiedź na bezimienną „Odę do ojczyzny" na dzień 19 listopada roku 1774. Początek tej ody zakrawa na elegię patriotyczną, lecz później ta oda schodzi na panegiryk na cześć owych 5 Elżbiet, a właściwie Izabel... Sens moralny jest oczywiście ten, że nie zginie ojczyzna póki ma takie córki..... Nie dziw więc, że do żywego obruszyła Węgierskiego[1])

Juliusz Wiktor Gomulicki podaje natomiast, że utwór ten kolportowano po stolicy w odpisach począwszy chyba od 19 listopada 1776 r., tj. właśnie od kalendarzowego dnia poświęconego Elżbiecie[2]).

A zatem istnieją poszlaki, iż ten cięty utwór wypuścił Węgierski w świat jeszcze przed przekładem Marmontela lub równocześnie z nim. Czyli że i dedykacja Czartoryskiemu, po owym małym skandalu, na nic się już nie zdała. Lucjan Siemieński pisząc o podróżach Węgierskiego zanotuje na marginesie swoich rozważań, że prawdopodobnie za tenże wiersz spotkała poetę „nieprzyjemna konfuzja"[3]).

Na tym wszakże nie kończą się docinki niestrudzonego poety przeciwko jenerałowi. Niektóre utwory podpisywane nazwiskiem Bielawskiego, a przypisywanie czasami autorowi „Sofiówki", są dosyć jednoznaczne, np:

Gdyś na Doświadczyńskiego nie skąpił potwarzy,
Ledwo, żeś cudzej ręki na twej nie czuł twarzy,
Literat cię poskromi piórem, ale możni
Będą w obraniu kary może trochę różni.

Pod pseudonimem Doświadczyńskiego pisywał sam Adam Kazimierz Czartoryski. I o niego to właśnie w tym króciutkim, adresowanym do Węgierskiego fragmencie chodzi. A jakie były te dotychczasowe i późniejsze potwarze? Ciekawy i różnorodnie interpretowany jest wiersz młodego wolterianina pt. „Na wjazd do Warszawy senatora Szydłowskiego w roku 1778". Jak pisze Karol Estreicher, współcześnie uważano,że satyra ta dotyczy również Czartoryskiego[4]).

Utwór ten jednak, nawet jeśli i mówi o jenerale ziem podolskich, jest tylko żartobliwo-satyrycznym obrazkiem, a nie groźną potwarzą, domagającą się zemsty i honorowej satysfakcji. Napisany jest bowiem w tonie dość swawolnym. Np.:

Uwielbiaj i ty, Muzo, w skromnej mowie,
Wstęgi na brzuchu a kołpak na głowie.

Inne utwory starościca, jeśli nie poprzez wyraźne lub czasami i jednoznaczne aluzje, to poprzez ogólny ton, namiętną krytykę arystokracji i możnych, śmiałe wiersze libertyńskie, wpłynęły na pewno na niełaskę protektora. Na przykład przejrzystość aluzji w wierszu zatytułowanym „Do Nakwaskiego o pożytku niemienia" jest raczej bezsporna. Poeta stwierdzadzając, iż „ubóstwo czasem na dobre wychodzi, i zbytek w ludziach często głupstwa rodzi", kontynuuje:

Może by i my, posiadając zbytki,
Pańskiej próżności stawiali przybytki,
Może by i my skarby tkali w mury
I mniej potrzebne wznosili struktury,
W których napozór uboga prostota,
A wewnątrz zbytki i rozpusta złota.
Może by i my z kaprysu lub z mody
Wspaniałe chcieli wystawiać ogrody,
Wyspy cypryjskie, mruczące fontanny,
W nich labirynty, świątynie Dianny.

Jeżeli przypomnimy sobie Powązki, gdzie każdy z mieszkańców miał własny domek, na pozór z wiejska zbudowany, lecz wewnątrz urządzony z niezwykłym przepychem, owe „mruczące fontanny" i „labirynty" tejże rezydencji, lepiej zrozumiemy, jak wielka była odwaga Węgierskiego. Pojmiemy też, jak wielka musiała być z drugiej strony niechęć księcia jenerała do śmiałka, który nie cofnął się nawet przed krytyką niektórych czynów księstwa. Tym bardziej, że prawdopodobnie Czartoryski niezbyt lubił, gdy poeci własne racje i własne przekonania wysuwali na plan pierwszy. Skarży się na to w swoich pamiętnikach i Fr. Karpiński, któremu również nie powiodło się na dworze puławskim[5]).

Wiele refleksji nasuwa także wspomniany już wiersz Węgierskiego „Moja ekskuza". Ma on charakter polemiki z przeciwnikami i jest jednocześnie wyrazem przekonań i poglądu na świat młodego poety.

Wy, którzy nie zdołacie sądzić z przekonania,
Ślepo swych mecenasów trzymając się zdania,
U was zasług i cnoty to największa próba,
Kiedy się co waszemu łaskawcy podoba.

1) I. Chrzanowski, Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku, W-wa, 1909 r., s. 94.
2) Juliusz Wiktor Gomulicki, Nad klawiaturą „Organów" Węgierskiego (przy wydaniu „Organów", W-wa 1956, str. 75).
3) L. S. (Lucjan Siemieński), Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego, Bibl. Warsz. 1850, T. IV, s. 480.
4) K. Estreicher, Wstęp do „Pism wierszem i prozą T. K. Węgierskiego", Lwów, 1882, s. XXIV.
5) Fr. Karpiński, Pamiętniki, W-wa, 1898, s. 88.

(Dokończenie na str. 8)

KOSZULA

JOANNA ŻWIRSKA

Historia tej koszuli ciągnęła się już lata. Ilekroć Anna przychodziła do znajomych, zawsze pod ich drzwiami postanawiała odebrać koszulę i potem dopiero, gdy już ich pożegnała,wsiadła do tramwaju, przypominała sobie, że i tym razem nie wzięła. Jakoś tak zagadali się o tym i owym, nikt o koszuli nie pamiętał. Czyż to możliwe, aby tak zapominać przez szesnaście lat? Znajomi mieszkali na Pradze. Było więc możliwe, że szary pakuneczek leżał przez tyle lat na szafie w przedpokoju. Nawet chyba w tym samym miejscu, gdzie go położyła tamtego dnia — 30 maja 1943 roku. Tę datę Anna doskonale pamięta, jak pamięta chwilę nabycia owej koszuli. Nocna, różowa, z błękitnymi kwiatuszkami wokół dekoltu. Błękitne kwiaty na delikatnej koronce. Tu gdzie jest serce człowieka — czerwieniła się wówczas plama świeżej krwi. Dziś pewnie plama jest ruda. Znak po kuli nie był duży, krwi też nie było wiele. Można zacerować dziurę, krew wyprać. Tak przynajmniej mówiły handlarki. Zachwalały, że dobry „milanez", prawdziwy jedwab nie do zdarcia. Wyrywały sobie z rąk różową pianę koszuli i wrzeszczały cenę ochrypłymi głosami.

Anna przechodziła wtedy koło żelaznej Bramy, śpiesząc się na umówioną godzinę. Niosła w torbie trochę amunicji i kilka ostatnich gazetek. Z trudem przeciskała się przez tłum handlarzy o twarzach czerwonych z podniecenia, o głosach rozrywających uszy. Wokoło fruwało pierze z czerwonych pierzyn i poduszek, poszarpanych przez kule czy może kolczaste druty i gruzowiska. Na zabłoconym chodniku leżały rozmaite łachy powyciągane z getta. Powstanie w getcie było już stłumione. Teraz ostatnie resztki po życiu tamtych ludzi — leżały pod murami, na bruku, na błocie, a żywi ludzie wtykali innym żywym ludziom to wszystko, co nadawało się jeszcze do użytku. Tak właśnie rozkudłana baba wetknęła w ręce Anny — różową koszulę.

— Bierz panna, taniocha! Bogata Żydówka chodziła w tej koszuli. Bierz, prawie darmo...

Annę przeraziła napastliwość baby, przeraziły twarze wirujące wokół — była pewna, że świat oszalał z nią razem i z tymi ludźmi. Chciała krzyczeć, ale krzyk zamarł jej na ustach. Żandarmi! Byli już blisko. Żeby uratować amunicję i gazetki, Anna zaczęła targ o skrwawioną koszulę. Jeden z żandarmów już uczepił się jej torby, wyszarpnęła ją zasłaniając koszulą. Koszula poległej żydówki ocaliła jej życie. Może życie wielu ludzi. Na punkcie konspiracyjnym miało się wtedy odbyć zebranie. Pokazała żandarmom koszulę i śmiała się przy tym i mówiła jakieś słowa zachwalające różowy kolor i śmiesznie niską cenę. Odeszli. Rozczochrana baba zawinęła koszulę w szary wymięty papier.

Ten sam szary papier widać na szafie w przedpokoju znajomych. Okupacja. Powstanie. Ruiny domów. Śmierć tysięcy ludzi. Kapitulacja. Obóz jeńców wojennych. Powrót do kraju. Zniszczone miasto. Zniszczone życie osobiste. Miasto odbudowuje się ciągle. Znikają ruiny. Osobistego życia nie da się już odbudować. Za późno. Rozwaliło się wszystko. Miłość. Małżeństwo. Jest tylko samotność.

A koszula nieznanej Żydówki została. Leży w szarym papierze tyle lat. Odkurzana czasem, lecz ciągle w tym samym miejscu. Tkwi jak szyderstwo, jak wyrzut. Drwi z wszelkich uczuć i marzeń. Drwi z ludzkiego życia, z przeszłości i z tego, co ciągle się dzieje, nowe i ciągle inne.

— Weź nareszcie ten swój pakuneczek! — śmieje się znajoma. — Wyobrażasz sobie, Anno, że nawet nie wiem co wtedy przyniosłaś! Równie dobrze mógł to być rewolwer jak sweter czy chustka. Weźmiesz?

— Wezmę — mówi Anna — wezmę. Tylko doprawdy nie wiem, co z tym mam zrobić.

— A co to jest? Może dla któregoś z dzieciaków się przyda?

(Dokończenie na str. 9)

Z WITKACYM
na Antałówce i w Wierch-Cichym

JERZY MIECZYSŁAW RYTARD

W kilka dni po moim zejściu z gór zaprosił mnie Witkacy na podwieczorek do swoich ciotek na Antałówkę. Mieszkały w obszernej, piętrowej willi, zbudowanej przez jego ojca. Płazy dobrano na ten budynek imponujące. Ze szczytu Kozińca willa „Pod Jedlami" — Pawlikowskich i ta — witkiewiczowska na grzbiecie Antałówki spoglądają ku sobie jak dwie gontyny słowiańskie. W architektonicznych kształtach tych budynków wyraził Witkiewicz — senior — wiele z tego, co Słowacki przekazał nam intuicją poety w „Królu Duchu". Obie panie Witkiewiczowe musiały być chyba dokładnie zorientowane przez Stasia w charakterze naszej artystycznej przyjaźni, gdyż dawno już nie miałem równie miłej okazji, gdzieby mnie przyjmowano z taką sympatią, zainteresowaniem i serdecznością. Od tego dnia każda wizyta składana w późniejszych latach tym czarującym niewiastom o bielutkich koafiurach była niezapomnianym przeżyciem. Parę godzin spędzonych w obszernych, wysokich pokojach płazowych; z których każdy stanowił istne muzeum stylowych mebli, obrazów, makat, bibelotów i mnóstwa fotografii osób o głośnych w Polsce, często historycznych już nazwiskach, przenosiło mnie zawsze w inny świat, w epoki powstań, bodajże do Księstwa Warszawskiego włącznie.

W czasie tej pierwszej wizyty atmosfera była dość oryginalna. Widząc moje zainteresowanie portretami, młodsza ciotka udzielała mi objaśnień, do których Staś dołączał po witkacowsku dowcipne komentarze, a niektóre nawet trochę złośliwe, korygowane i łagodzone przez nią dobrotliwie.

Tak postępuje się z ukochanym, rozpieszczonym dzieciakiem. Toteż dziwiły mnie czasami „szatańskie demonizmy", nie schodzące z ust człowieka wychowanego w otoczeniu istot na ludzką miarę charakterów — przedziwnych. Pogodę ducha, łagodność i uśmiech miały obie panie Witkiewiczowe w anielskim doprawdy stylu. Niezmąconym spokojem emanowały ich dusze, które po śmierci anieli na pewno zanieśli na swych skrzydłach prosto przed stopnie tronu Boskiego.

Niechże ta alegoria będzie podziękowaniem za ich aurę, działającą na mnie tak dobrocznnie. Byłem nią zawsze przyjemnie zahipnotyzowany przez kilka dni.

Właśnie przeczytałem niedawno „Na przełęczy", „Z Tatr" oraz „Juliusza-Kossaka" i żałowałem teraz, iż nie przyszedłem na świat o dziesięć lat wcześniej. Coś z charakterów sióstr musiał i brat ich mieć w sobie. Jaką rozkosz sprawiłaby na pewno każda chwila spędzona w towarzystwie artysty obdarzonego tej miary intelektem.

Gdyby nasza inteligencja mogła podciągnąć się kiedyś choć trochę do poziomu jego walorów duchowych, powinna to sobie uważać za wielkie szczęście.

Z Antałówki poprowadził mnie Witkacy drogą okrężną wiodącą zboczem południowym, opadającym w stronę Kozińca. Zbliżaliśmy się do jakichś zabudowań ogrodzonych sztachetami. W otwartej furtce stanęła właśnie postać kobieca. Dzieliło nas od niej kilkadziesiąt kroków. Staś zatrzymał się i wygłosił krótki speech, z którego dowiedziałem się, że pewna „hyper-samica" zapowiedziała, aby nie ośmielił się w okresie przyjaźni z nią wyrazu zaczynającego się na „r" i kończącego literą „ć", a używanego zwykle w zastosowaniu do... sieczki, skierować pod adresem kobiety. I jeżeli nie dotrzyma słowa, ma zniknąć z jej oczu, zdematerializować się. To powiedziawszy, ściągnął usta „w ciup", skurczył się, splótł dłonie na piersiach w geście potulnym i zapiszczał cieniutkim głosikiem skarżącego się dziecka: „A Stasiuńkowi smutno byłoby bez tego wampirka pierwszej klasy".

Będąc jeszcze pod wrażeniem uroczej wizyty „u ciotek", zagapiłem się na niego z niezbyt mądrą miną zapewne, tak mnie zaskoczył tą przezabawną zresztą sceną. Widząc, że jestem „ustrzelony", zarechotał z zadowolenia, puścił potężną fontannę dymu ze świeżo zapalonego papierosa, po czym zakomenderował: „w pachod"!

Przed dojściem do furtki ruszył nagle ostrym krokiem żołnierskim, wystukując głośno takt marszowy na ubitej ścieżce. Zastanowiło mnie to, więc zerknąłem ku furtce. Stała w niej bez ruchu, zapatrzona gdzieś w przestrzeń przed siebie nie zwracając zupełnie na nas uwagi, ta sama kobieta, ale... jaka! Zapolska mogłaby ją śmiało uważać za prototyp swej Kaśki-Kariatydy.

Była to rosła, rumiana dziewucha, jak rzepa, o biodrach niby dwa solidne bochny; łydki jej niewiele ustępowały kalibrowi słynnych „łyd" — Stasia.

Twarz jego ściągnął nagle zimny, drapieżny wyraz. Furtkę mieliśmy już o kilkanaście metrów za sobą. Głośny ciągle werbel kroków przecięły twardo wypowiedziane słowa: „Taką... stentegować i... wyrzucić natychmiast za okno!... Nie masz pojęcia, jak działa na mnie czasem podobne zwierzę w babskim ciele".

Zrozumiałem wreszcie sens usłyszanego przed chwilą speechu. Odniosłem wrażenie, że na tej trasie powrotnej z Antałówki owa Kariatyda nieraz już tak wystawiała w furtce pod obstrzał jego drapieżnych oczu swój istotnie „zwierzęcy" kawał cielska. Wobec słynnego działania Stasia na kobiety, można przypuszczać, że za każdym razem ekscytacja była wzajemna.

Powtarzająca się co jakiś czas ta mimiczna scenka była zapewne powodem okrężnych powrotów jego z Antałówki przez Koziniec i Bystre. Zastanawia mnie tylko możliwość seksualnego działania na siebie dwóch jednakowych „kalibrów" fizycznych wbrew potwierdzającej się nieomylnie regule: „średniej arytmetycznej", ku której dążą zawsze temperamenty kojarzących się par.

Eksperymentatorski demonizm erotyczny Witkacego potrafił jednak zakpić sobie nawet z niewzruszonych praw doboru naturalnego.

W parę lat później, gdy już nieźle opanowałem turystyczną jazdę na nartach, wybrałem się z nim na dłuższy spacer do Wierch-Cichego, za Gubałówkę. Miałem wtedy możność poznania chyba najistotniejszych jego walorów psychicznych. Jakże niepodobny był on wtedy do owego Witkiewicza, mijającego furtkę z wyzywającym cielskiem Kariatydy! Nasza półdniowa eskapada, tym razem tylko we dwójkę, należy do moich najprzyjemnieszych wspomnień o nim.

Przy słonecznej, lekkomroźnej pogodzie, jaka bywa często w Tatrach pod wiosnę, zjawił się u mnie o wczesnej poobiedniej porze. Zboczem Symoskowej i Pająkówki, oszronionym w zacienionych miejscach, wyszliśmy na grań, po czym on objął prowadzenie. Na rozległym, płaskim grzbiecie Gubałówki, opadającym bardzo łagodnie ku północy, zastaliśmy warunki śnieżne, uważane w narciarskiej turystyce za ideał: olbrzymie płaty nielamliwej szreni pokrywała cieniutka warstwa tak zwanego „boraksu", czyli sypkich, płaskich kryształków zmrożonego śniegu. Po takim białym dywanie kierują deskami nie nogi narciarza, ale raczej jego podświadomość; powstaje złudzenie, że się jest niesionym przez narty, które same wiedzą, dokąd i jak serpentynować.

Płynęliśmy więc po tym ideale śnieżnym, wydając okrzyki zachwytu. W pewnym momencie, gdy niosłem się łyżwowym krokiem na dno płaskiej kotlinki, dognał mnie Staś prostym jak strzała szusem i hamując pęd przed dziobami moich nart, zapytał niespodziewanie, co wolę, „piskojęki" czy „jękopiski", zadowolenia?... O, lubił się Witkacy drażnić (to chyba najlepsze określenie) z konstrukcją słowa i jego pojęciowym znaczeniem; osiągał nieraz w tej neologizmowej zabawie kapitalne efekty.

Będąc w górach, zwłaszcza zimową porą, przykładał chwilami do oka rękę, zwiniętą w lunetkę, dla skontrolowania pewnych fragmentów pejzażu. Obserwując owe nieprzeparte odruchy już teraz „marnotrawnego syna" — malarstwa, przypomniałem jego własne zdanie: „Inne jest... piękno życia, a inne „piękno sztuki"...

Oderwał rękę od oka i utkwił we mnie bystre spojrzenie: „Zapamiętałeś"?

Przypomniałem mu o egzemplarzu „Teatru", który otrzymałem od niego. Trudno zresztą zapomnieć takie niby beztroskie pozornie zdanie, przy jego ciężarze gatunkowym...

Usłyszawszy to, zaczął wyśpiewywać tubalnym głosem historię jakichś dwóch „iksów", co „o szreń bili głowami przed pięknem"... — ale koniec zdania zagłuszył parodyjny śpiew. Następnie zwrócił narty w kierunku północnym i zapowiedział, iż jedziemy do Wierch-Cichego — „spojrzeć w oczy dziewiczemu pięknu życia".

I znowu wśród jękopisków zachwytu sunęliśmy po szeleszczącym boraksie ptasią lekkością. Narty moje zachowywały się jak skrzydła mewy muskającej w locie taflę wody. Czułem się chwilami odmaterializowany.

Staś, wskazując zabudowania mijanych osiedli, wymieniał ich nazwy, akcentowane z góralska: Butorów, Słodyczki, Kule, Gruszków-Wierch, Dudkówka, Zawierszek, a to... „wiecie ponie — Świdronie". Delektował się różnymi odmianami fonetycznymi ostatniej nazwy, z których najlepsza wydała mu się: „Świdronie", z akcentem na pierwszej sylabie.

Po minięciu Zawierszka odpięliśmy narty przed jakąś gazdówką. Zostałem wprowadzony do izby mieszkalnej. Powitała nas gaździna, która jak się teraz dowiedziałem (Witkacy lubił nieraz bawić się w tajemniczość, zresztą przyjemnie żakowską) — dostarczała mleko i nabiał do willi „Tatry". Matka jej też była nadworną dostawczynią jeszcze w czasach jego dzieciństwa. Nie pamiętam już dzisiaj nazwiska tych gospodarzy, lecz wiem, że goszczono ich ze specjalnymi honorami na chrzcinach Stasia. W sąsiedniej izbie, za uchylonymi drzwiami rozległy się leciutkie stąpnięcia i na progu ukazała się, jasnowłosa dziewczyna — gazela. Oczy jej, koloru nieba w zenicie, powitały nas rozjaśnione uśmiechem. Przysiadła na brzeż-

(Dokończenie na str. 8)

PIELGRZYMKA DO SKARBÓW WAWELSKICH

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

Już z drugiej strony Alei Trzeciego Maja widać zwarty łańcuch ludzki od narożnika gmachu do kraty zamykającej zewnętrzny podwórzec Muzeum Narodowego. Używam świadomie określenia „łańcuch", a nie „kolejka", bo ludzie stoją po kilka osób w rzędzie, a nie pojedynczo, a przy samej kracie zwartą gromadą, po prostu dlatego, że do środka wpuszczają grupy po kilka osób. Nastrój w tym tłumie, w którym przeważają o tej południowej porze wycieczki szkolne, — spokojny, uroczysty, jakiś odświętny, zaryzykowałabym powiedzenie: nabożny. Prawdziwa pielgrzymka, jak do cudownego miejsca.

Na podwórku też sporo ludzi czeka na moment, kiedy sale opróżnią się do tego stopnia, że będzie można wpuścić nową partię. Kilku chłopców ślizga się beztrosko po szlaku lodowym na dnie basenu, z którego latem tryska fontanna, zraszając rozkwitłe drzewka różane naokół. Jest mglisto, mroźno, drzewa w Alejach obrosły grubym srebrzystym puchem.

W hallu na dole zbite zwały ludzkie oblepiły szczelnie krąg rzęsiście oświetlonych gablot, rozmieszczonych naokół sali. Największy tłok przy szczerbcu. Ludzie, jak zahypnotyzowani, wpatrują się w jego prosty, surowy kształt, szukając na jego klindze legendarnej szczerby, której nie ma. Regalia Stanisława Augusta przyciągają oczy raczej barwnością i przepychem. Berło, kawał morza w postaci olbrzymich akwamaryn ujętych w złoto, czaruje pięknem i wdziękiem. Mniejszym zaiteresowaniem cieszą się buławy i buzdygany, może dlatego, że ich wymowa mniej jest zrozumiała, niż tamte świadectwa monarchicznej suwerenności Polski. A jednak prześliczna to kolekcja, te pamiątki bojów i zwycięstw Polaków z XVII przeważnie stulecia. Najpiękniejsza buława hetmana Rzewuskiego, prawdopodobnie Stanisława Macieja, który otrzymał ją po śmierci hetmana wielkiego koronnego Sieniawskiego, albo własność jego syna Wacława, również hetmana wielkiego koronnego, wywiezionego do Kaługi podczas słynnego porwania senatorów wespół z biskupami: Załuskim i Sołtykiem. Jeden z buzdyganów należał pono do Stefana Czarnieckiego. Obok tych olśniewających pamiątek męstwa i chwały jakże skromnie i wzruszająco spoziera na nas wyblakłym fiołkowym okiem starodawna „ścieżynka" (z niemiecka „laufer") pono wyhaftowana przez Annę Jagielonkę na cieniutkim, prawdopodobnie holenderskim płótnie krzyżykami, z których każdy obejmuje tylko jedną nitkę zwiewnej tkaniny, nie grubszą od nitki pajęczej. Ile dni prześlęczała nad krosienkami samotna królewna, zanim liliową nicią wywołała z wąskiego rąbka renesansowy wzór?

Na wielkich schodach, wiodących ku pierwszemu piętru, znowu zwarty wał dziewcząt i chłopców. Czekają cierpliwie na znak woźnego, że im wolno iść wyżej. Nikt się nie pcha, nikt nie szemrze na długą kolejkę, nikt się po dziecinnemu nie kuksa i nie popycha. A w sali na górze aż oczy bolą od blasku złota, kamieni i muszli zamorskich, opalizujących tęczowymi barwami. Kubki, puchary rozmiarów gargantuelicznych, konchy jakby z różanego ciała nimf i syren wydmuchane, zegar kafelkowy z XVII w., wskazujący minuty, godziny, dni, miesiące, znaki zodiaku i kwadry księżyca. Czym wobec tego arcydzieła i owocu wieloletniej pracy gdańskiego mistrza Gintera są nasze seryjne zegarki naręczne?

Wreszcie wśród tych cacek i naczyń zbytkownych coś, jak echo surmy bojowej, choć również w złocistą sukienkę obleczone: hełm rycerski z końca wieku XVI. Z kształtu widać, że rodzic to hełmów husarskich.

W sali matejkowskiej prawem kontrastu cichną odgłosy bitewnych zapasów. Cichym głosem nieśmiertelności mówią księgi. Jakaś młoda złotowłosa dziewczyna, stojąca za rzędem gablot, niezmordowanie objaśnia co znaczą te paski zapisanego nieznanym pismem papieru, tak pieczołowicie przyklejone na dużym nowoczesnym arkuszu. Wtajemnicza ciekawą rzeszę w dzieje odkrycia kazań świętokrzyskich. Czyni to już od wielu godzin z niesłabnącym zapałem. Nowoczesna siłaczka. Płomień, który ją ożywia, zdaje się tryskać z jej włosów. Dobrze, że jej nie umieszczono w sali złotniczej, bo rywalizowałaby z zimnym kruszcem...

Psałterz Florjański, Rocznik Świętokrzyski, odpisy kronik Galla i Kadłubka, — to wszystko, co się znało dotychczas z reprodukcji w podręcznikach, leży przed oczyma jak żywe. A teraz szukajmy śladów palców nabożnych, które przewracały karty tych modlitewników. Oto srebrna oprawa wielkiego modlitewnika księżny płockiej Anastazji z wieku XII. A oto, dla porównania znacznie mniejszy, zbliżony formatem do nowoczesnych książek do nabożeństwa, modlitewnik królowej Bony. Istne cacko renesansowego piękna. Prawdopodobnie wykonany we Włoszech w XV wieku, czaruje przepychem barw, ich urodą całkiem świecką, zmysłową, daleką od ascetyzmu średniowiecznych iluminacji.

Wewnętrznymi przejściami zdążamy na przeciwną stronę schodów, na krużganek, na którym nikt się nie tłoczy. W gablotach, jak mrówki snują się jedne za drugimi czarne, trochę wyblakłe paciorki nut. To rękopisy Chopina, najmilsze sercu Mazurki, dwa razy przepłynęły ocean, aby wrócić w rodzinne mazowieckie strony. A oto drugi koncert fortepianowy, tu w Warszawie z miłości do panny Konstancji Gładkowskiej wyśpiewany...

To już ostatnie pożegnanie. Wychodzimy znowu w szary i mglisty dzień zimowy. I raptem staje mi przed oczyma inny dzień. Było to wkrótce po wyzwoleniu Polski. Roku nie pamiętam. Profesor Borowy wezwał pewną grupę miłośników zabytków i dziennikarzy na zebranie w jednej z sal uniwersytetu, gdzie opowiedziano nam odyseję skarbów wawelskich, w ostatniej niemal chwili ocalonych przed najazdem hitlerowskim. Ktoś, nie przypominam sobie dziś — kto to był, prawił, jak skrzynie ze skarbami i arrasami wypłynęły w barkach po Wiśle, jak później trzeba je było przeładowywać na furmanki chłopskie i ukradkiem wieźć do granicy rumuńskiej. Jak to było, kto to jeszcze pamięta? Może pan Kruk, pracownik Muzeum Narodowego w Krakowie, który był obecny przy zapakowywaniu ongi skarbów przed ich zamorską podróżą i którego wzywano specjalnie do otwierania skrzyń po ich powrocie, aby sprawdzić całość ich zawartości?

Stefania Podhorska-Okołów

O INSCENIZACJI ZAWISZY CZARNEGO

STEFAN SAWICKI

MIECZYSŁAW TROCHIMIUK

Teresa Lassota (Laura) i Jerzy Smyk (Zawisza)

Z pewnym żalem wychodzi się z teatru po obejrzeniu „Zawiszy Czarnego". Odczuwa się niedosyt poetyckiego słowa Juliusza Słowackiego. Może dlatego, że sceniczny ruch i gest przygłuszył subtelną warstwę słowną, w „Zawiszy Czarnym" chyba najistotniejszą.

W „Mindowem" i „Marii Stuart" wyraźny akcent padał na akcję. W „Balladynie" i „Béatrix Cenci" założeniem artystycznym stała się romantyczna widowiskowość, której w realizacji scenicznej w żadnym wypadku nie można by pominąć. „Zawisza Czarny", pisany w latach 1844—45, jest wyrazem innej zupełnie poetyki. Pod wpływem dramaturgii Calderona w twórczości Słowackiego pojawia się nowy typ dramatu. Już nie akcja i elementy widowiskowe determinują kształty utworu. Na plan pierwszy wysuwają się tendencje epicko-liryczne. Można je dostrzec już w „Śnie srebrnym Salomei". „Zawisza Czarny" jest dalszym etapem tych nowych tendencji. Postaci prezentowane są w nim nie tyle poprzez akcję sceniczną, ile przez podstawowe dramatyczne struktury słowne: dialog i monolog (np. rozbudowana kwestia Głupca w obrazie II, partie chóru). Akcja jest tu jedynie zarysowana, a nadto „postrzępiona" fragmentarycznością całego dramatu. Próżno tu szukać romantycznej widowiskowości. Świadczy o tym choćby brak tekstu pobocznego. A jeśli brak ten można by tłumaczyć szkicowością tragedii, to pozostaje jeszcze jako materiał dowodowy tekst główny, który u Słowackiego zawiera zawsze najwięcej wskazówek inscenizacyjnych, określających ruch, gest, dekoracje, światło. W „Zawiszy Czarnym" nie znajdujemy prawie tych informacji. Co więcej, tekst poetycki „Zawiszy" jest bogato nasycony metaforyką, wykazuje stale tendencję do poszerzania i usamodzielniania partii lirycznych, a więc do różnorodnego podkreślania wartości słowa.

W jakim kierunku poszła reżyserska koncepcja lubelskiego przedstawienia? Czy wydobyła zasadnicze cechy poetyki dramatu? Musiano dokonać wyboru. Czy poetyckie słowo, czy akcja i związany z nią choćby częściowo element widowiskowy. Wybrano to drugie, starając się stale „ożywić" sceniczny kształt dramatu. W rezultacie otrzymaliśmy widowiskową scenę zbiorową z dziadami, pełną przesadnej dynamiki i ruchu scenę u cesarza Zygmunta, wreszcie wyjaskrawione „pojedynki": Zawiszy z Dziadem-lirnikiem, Głupca z Lirenką i Manduły z Laurą (obrazy IV i VI) oraz zamykający przedstawienie „hamletowski" orszak pogrzebowy. Na scenie panuje niewiele znaczący ruch i realistyczny gest. W takim kontekście scenicznym prozaizuje się poezja „Zawiszy Czarnego". U Słowackiego elementy akcji i ruchu ograniczono do minimum zachowując jedynie metaforyczną ich wymowę.

Wydaje się, że należało sięgnąć po rapsodyczną koncepcję inscenizacyjną, co wcale nie wyklucza zresztą elementów subtelnie potraktowanej fabuły, a nawet widowiskowości. Na scenie krakowskiego Teatru Rapsodycznego w „Legendach złotych i błękitnych" warstwa widowiskowa o wymowie zdecydowanie metaforycznej tworzyła wspólnie ze słowem zsynchronizowaną artystyczną jedność, podkreślając jednocześnie i potęgując wymowę strof „Króla—Ducha". W teatrze lubelskim zetknęliśmy się z czymś przeciwnym. Elementy fabularne i widowiskowe, pozbawione na ogół artystycznej umowności, przeszkadzały w odbiorze tekstu. Dowodzi tego choćby fakt, że najlepiej wypadły sceny statyczne (np. Laura-Manduła, obraz VI; Zawisza-Manduła, obraz IV), gdzie na pierwszy plan wybijało się słowo. To były bodaj najsugestywniejsze momenty przedstawienia.

* * *

Przejdźmy do innego problemu, który łączy się zresztą z poprzednim — do stylu całości przedstawienia.

Wprowadzenie narratora zdaje się być wyrazem spojrzenia na tragedię Słowackiego oczyma współczesnego czytelnika. Jest momentem aktualizacji. Oprócz funkcji aktualizującej „prowadząca dramat" pełni również funkcję „uteatralniania". Sugeruje rzeczywistość sceniczną, teatralną, a nie tę — realnie istniejącą, która nas otacza. Z chwilą pojawienia się na scenie tej postaci widz jest przekonany o umowności teatralnego kształtu dramatu. Szybko jednak następuje rozczarowanie. Całym przedstawieniem rządzi nie zamierzony na pewno dysonans. Umowność dekoracji, adekwatnej w stosunku do tekstu tragedii, kłóci się z naturalistycznymi skrzydłami husarzy i brzęczącymi ostrogami Zawiszy. Obok stylizowanych kostiumów Laury i żebraków ukaże się „autentyczna" zbroja rycerska, wreszcie realistyczny kontusz, kołpak i karabela Sanockiego.

Ciekawy eksperyment, często zresztą stosowany w teatrach, stanowiły zmiany rekwizytów dekoracyjnych dokonywane na oczach widza. Umowność tych zmian była jednak nie zharmonizowana z grą aktorską. Kapitalnym przykładem tego nie umotywowanego artystycznie łączenia umowności z „dosłownością", była scena, w której Manduła stołkiem wyrzuca ze sceny Głupca.

Gra aktorska wiąże się w przedstawieniu bezpośrednio z reżyserską tendencją unikania statyczności, z usiłowaniem wykorzystania akcji, ruchu, gestu do maksimum. W wyniku tej tendencji otrzymaliśmy wspomniane „pojedynki", słyszeliśmy „zdrowaśki" żebraków, nieco jarmarczne pokrzykiwania rycerzy i wreszcie oglądaliśmy najbardziej rażącą swym prymitywnym realizmem postać Gniewosza. Dialogi i monologi pisane wierszem wygłaszano w dodatku bardzo często jak prozę.

Uwagi te mówią o niejednolitości stylu inscenizacji „Zawiszy Czarnego". Jeśli niejednolitość ta była zamierzona, jeśli chodziło o celowe kontrastowanie stylów, to wydaje się, że w wypadku „Zawiszy" chwyt ten nie przekonuje. W wyniku pomieszania różnych konwencji teatralnych, zaciera się bowiem wymowa interesujących dekoracji J. Warpechowskiego, ginie nastrojowa muzyka A. Cwojdzińskiego, tracą sens „choreograficzne" wędrówki „prowadzącej dramat" i wreszcie, co najważniejsze, zatraca w dużej mierze swoją ekspresję poetyckie słowo, najistotniejsza warstwa tego dramatu.

* * *

Pozostaje do omówienia literackie, a raczej dramaturgiczne opracowanie tekstu. Przed inscenizatorem tutaj na pewno piętrzyło się najwięcej trudności. „Zawisza Czarny" nie jest bowiem dramatem skończonym i pełnym. Oprócz dwu (a według Kleinera czterech) różnych redakcji, zawiera cały szereg luźnych scen i fragmentów. Stworzyć z nich jednolitą całość sceniczną zrozumiałą dla odbiorcy wydawałoby się rzeczą niemal niemożliwą. Można by naturalnie dyskutować, czy należało łączyć niektóre partie różnych redakcji o odmiennych tonacjach stylistycznych, czy powinno się uwzględniać fragmenty przez autora poniechane. Ostatecznie jednak otrzymaliśmy jasny, zwarty scenariusz, zamknięty w 9 obrazach, słusznie pozbawiony pobocznych i sensacyjnych wątków (Manfredi, Trynitarz, Książę), oparty o tak zwaną redakcję I. Spoistość całości osiągnięto między innymi dzięki wprowadzeniu postaci narratora. Jest to element bardzo ważny (choć scenicznie nie najlepiej zrealizowany), umożliwia bowiem bezpośredni komentarz problematyki tragedii i równocześnie pełni funkcję łącznika wiążącego oderwane partie dramatu w sceniczną jedność (doskonale otwierał przedstawienie recytowany przez narratora wiersz Słowackiego „Śni mi się jakaś wielka, a przez wieki idąca powieść"). Wyraźne zarysowanie dwu zasadniczych wątków: erotycznego i patriotycznego podnosi wartość przedstawienia, ułatwiając jednocześnie jego percepcję.

Szkoda jednak, że położono nacisk tylko na zagadnienie patriotyzmu, bardzo zresztą istotne dla dramatu Słowackiego, a nie podkreślono silniej głębszych, bardziej ogólnych pokładów znaczeniowych tekstu. Postać Zawiszy wiąże się bowiem z postaciami „Króla-Ducha", w którym za klucz do poznania dziejów uznał Słowacki los duchów naczelnych, „pierwoidących" w narodzie (Wanda, Popiel, Bolesław Śmiały). Rozwojem narodu rządzi prawo ofiary. Sześciowiersz prologu „Zawiszy Czarnego":

Próżno człowiek złotego zboża nagromadzi,
Próżno... srebrem i złotem ponapełnia skrzynie,
Próżno... stuletnie lipy w ogrodach zasadzi,
Próżno się w tęczę rodem potomków rozwinie...
Ofiara jedna tylko... wzlata nad kurhany
I lampą jest narodu — duch ofiarowany

odsłania istotę problematyki tragedii. Ten krótki fragment umieszczony jako motto w świetnie zredagowanym programie przedstawienia — nie wiadomo z jakich przyczyn został skreślony w tekście reżyserskim.

Zawisza jawi się nam nie tylko jako monumentalna wielkość, ale jednocześnie, przez wprowadzenie motywu ofiary, jako postać głęboko tragiczna. Musi zginąć, bo ślubował wierność mieczowi i sławie. Taki schemat był jednak dla Słowackiego za prosty. Doszedł więc jeszcze inny motyw, który pogłębia wielkość ofiary i tragizm bohatera. Poeta każe swemu rycerzowi stanąć oko w oko z „miłością... czystą i nie bladą..." I oto pod jej wpływem ten rycerz „tak do Bożego Syna podobny" zapragnął „na kształt mularza / Jaskółki zacząć wreszcie własne gniazdo lepić". W walce wewnętrznej uświadamia sobie jednak, że to pragnienie jest sprzeczne z „ofiarą dawną i wotywą". Jego miejsce gdzie indziej:

Na stepy... przeciw ludom... i rzeziom, i łunom —
Jeśli puste... to przeciw wichrom i piorunom,
Gwiazdom... głosom... i burzom, i słońcom, i duchom
Ja sam jeden...

Rezygnuje ze szczęścia, odrzuca miłość kochającej kobiety, idzie na spotkanie śmierci. Wierny do końca swojemu posłannictwu, zginie jako idealny rycerz posuwając dzieje ducha narodu o krok dalej.

Zasygnalizowana tu szersza problematyka utworu nie została w przedstawieniu dostatecznie wyraźnie wydobyta, a przecież rodzi się ona w dramacie jak gdyby na przecięciu tak silnie przez reżysera akcentowanych wątków: miłości i patriotyzmu. Wątkom tym daje ona zresztą głębszą motywację artystyczną.

* * *

Mimo wszelkie zastrzeżenia, dobrze się stało, że w roku poświęconym Juliuszowi Słowackiemu właśnie „Zawisza Czarny" ukazał się na lubelskiej scenie. Dramat prawie nieznany, a będący bardzo intersującym osiągnięciem poetyckim autora „Kordiana", doczekał się masowego odbiorcy. Świadczy to o śmiałych i odkrywczych ambicjach naszego teatru, który nie cofa się przed eksperymentem i nie unika rzeczy trudnych *).

*) Teatr im. J. Osterwy. „Zawisza Czarny". Premiera dn. 18.II. Opracowanie dramaturgiczne i reżyseria — Jerzy Goliński. Scenografia — Janusz Warpechowski. Muzyka — Andrzej Cwojdziński. Postaci: prowadząca dramat — Danuta Lipińska; Laura — Teresa Lassota; Lirenka — Teresa Wicińska; Gniewosz — Jarosław Skulski; Zawisza — Jerzy Smyk; Dziad stepowy — Lech Skolimowski; Głupiec — Henryk Gońda; Manduła — Adela Zgrzyblowska; Diwa — Maria Orwid; Legat papieski — Marian Rulka; Cesarz Zygmunt — Marian Drozdowski; Dworzanin — Stanisław Maleszewski; Manfred — Tadeusz Bąk; Jan Sanocki — Zbigniew Przeradzki; Szlachcic I — Jan Machulski.

JÓZEF BURSEWICZ

Wariat

Na skraju większych dróg i dworców
W niedużym gniazdku z traw i kory
Siedział i przez wiklinę patrzał
Jak gdyby świątek lub miedzioryt

Tych oczu smutnych jak listopad
Nie krępowały się ludziska
Ze śmiechem też patrzano kiedy
Darł papier lub do ust przyciskał

Hasali w koło brudni nadzy
Śpiewając pieśń swą niepodległą
I z tłem przyrody tworząc jakby
Maleńkie ale brzydkie piekło

Kiedyś zabrakło świątka w lesie
Na którym płaszcz tak śmiesznie zwisał
I wtedy się rozeszło: wariat
A takie ładne wiersze pisał

Z WITKACYM na Antałówce w Wierch-Cichym

(Dokończenie ze str. 6)

ku skrzyni, ozdobionej kolorowym ornamentem. Wąskimi stopami w miękkich pantoflach z szarego sukna dotykała podłogi jak baletniczka — zaledwie czubkami palców. Obcisła katanka gładko przylegała do smukłej talii. Spoglądała ku nam spojrzeniem tak promiennym, że ostre w wyrazie rysy Witkacego straciły momentalnie swą zwykłą, pełną czujnego skupienia pochmurność. Jakby twarz jego oblało nagle ciepłe światło. Miękkim głosem, łagodnie o czymś zagadał. Przytaknęła mu, jeszcze promienniej uśmiechnięta. Jaka odmiana w tym człowieku!... Tak delikatnie i ostrożnie bierze się na wiosnę w palce pierwszy kwiat konwalii, wstrzymując oddech, aby nie zdmuchnąć przez nieostrożność delikatnego pyłu z jedwabistych płatków.

Rok temu, na murawie Polany, pod Obidowcem przeżyłem, jak wiemy, podobne wzruszenia. Lecz ja nie ukończyłem jeszcze wtedy dwudziestego drugiego roku życia. A tutaj wieczny poszukiwacz najbardziej drapieżnych demonizmów erotycznych, liczący w tej chwili czterdzieści trzy lata zmienia się nie do poznania w obecności piętnastolatki góralskiej pod działaniem niewątpliwie dziewiczego czaru.

Staś, zaprzyjaźniony wówczas ze mną od dziesięciu już lat, orientował się, że z kolei ja — zdaję sobie w pełni sprawę z odmiany psychicznej, jaką w nim zaobserwowałem, i... nie krępował się tym zupełnie. Miało to dla mnie specyficzny wdzięk, toteż zapanował między nami nastrój intymności, co w stosunkach z nim nie było łatwe.

Po wypiciu znakomitego mleka, którym nas poczęstowano, i wypaleniu papierosów, wracaliśmy w świetnych humorach. Okazało się, że podrastanie tej uroczej... no powiedzmy — Ani (bo nie zapamiętałem jej imienia) obserwował Witkacy już kilka lat, od czasu, gdy zaczęła do nich zachodzić, towarzysząc matce w jej wędrówkach do Zakopanego.

Przed odjazdem z Pająkówki Staś odrzucił z rozmachem wypalonego papierosa.

— Gdyby jakieś bydlę... — po tych słowach zacisnął szczęki i dokończył twardo — skrzywdził naszą Anię... — podniósł w górę dwa palce — doppelfajer, że mu łeb ukręcę!

Obawy, na szczęście, okazały się zbyteczne *).

Jerzy Mieczysław Rytard

*) Fragment VIII rozdziału tomu wspomnień pt. „Czasy optymizmu", który ma się ukazać nakładem PIW.

ZAMKOWE WIECZORY

CZESŁAW KLEPACKI

Marzenie o kształcie słów

Gdyby grupa owa miała swoją własną, choćby małą salkę i gdyby przywiązywała jakieś znaczenie do haseł, na drzwiach widniałoby: „Ukochaj słowo". Hasła takiego oczywiście nie ma, gdyż ludzie ci zeszli się tu na zasadzie niechęci do wszelkich sloganów, w poszukiwaniu głębszego, osobistego sensu każdego wypowiadanego słowa. Oficjalna nazwa — kółko recytatorskie — nie mówi nic. Zresztą w ogóle nie używa się tu słowa „recytacja" a co najwyżej „mówienie wiersza". Mówienie..

„Bo i tu — i tam — za morzem
i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl
biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi
jedno..."

Zaraz, zaraz. Zaczekaj. Czy, Basiu, masz koleżanki? A chciałabyś mieć taką przyjaciółkę od serca, kogoś, kto cię zawsze wysłucha? Więc nie deklamuj, tylko powiedz nam o tym swoim pragnieniu, poskarż się słowami Słowackiego.

I dziewczynka, trochę stremowana, skarży się. O tym, jak jej, 14-letniej, jest źle na świecie, jak jest sama, że ludzie są źli i zamknięci w sobie, jak ona pragnęłaby zmiany. Siedzący tuż obok koleżanki i koledzy, ci z IX klasy i ci starsi, łącznie z asystentem matematyki i ogrodnikiem, biorą do głębi serca tę jej skargę serdeczną. Jadwiga Grossman mówi: „Nie, ja ich nie uczę dobrej deklamacji. Chcę tylko ich otworzyć, umożliwić przez Słowackiego znalezienie siebie i znalezienie czegoś w sobie".

Przyszli tu po ogłoszeniu w prasie, nie wiedząc bardzo co i jak. Szukali kontaktów z poezją. Różni, bardzo różni. Młodzież szkolna i dojrzali ludzie. Przybyli też chłopcy z bardzo wyraźnymi śladami rozbitych na głowie butelek po winie, wypitym w „Ratuszowej". Pracują bardzo powoli. Najpierw poszedł montaż poezji „Powstania Warszawskiego", potem, gdy instruktorka pojechała na wczasy, zespół chcąc zrobić jej niespodziankę przygotowywał Tuwima. Z tej niespodzianki omal się w ogóle nie rozleciał, gdyż kłócili się o każde słowo i jego sens, płakali, rzucali książkami. Był to już czas, gdy bakcyl poetyckiego słowa zagnieździł się w nich na dobre. Teraz pracują nad poematem Słowackiego „W Szwajcarii". Każde niedzielne spotkanie jest dla nich wielkim przeżyciem. Sądzę, że dla Jadwigi Grossman również, skoro przyjeżdża w tym celu aż z Warszawy. Dziwny to zespół. Rozbrykany, do niemożliwości wesoły, a jednocześnie...

Jeden z chłopców określający sam siebie jednym, tak powszechnie używanym w stosunku do jego wieku słowem, dziś sam pisze i drukuje wiersze. Drugi, student medycyny, zwierza się swej opiekunce pewnego razu w kawiarni: „Od dwu tygodni poczułem się poetą... Piszę, coś mi każe wypowiedzieć się". Tworzy podobno dobre, bardzo osobiste wiersze.

Zasada pracy zespołu jest następująca: jeśli chłopak przez tydzień pomęczy się nad interpretacją „Żydka" Tuwima, na pewno nie będzie antysemitą. Jeśli pomęczy się nad Gałczyńskim, nie skrzywdzi dziewczyny. Jest to oczywiście zasada Jadwigi Grossman. Wiąże się z tym jednak również dylemat: co tych ludzi bardziej ze sobą wiąże — osobowość opiekunki czy ukochanie poezji? W każdym razie jej wpływ osobisty na tych ludzi przekracza daleko normalne granice. Ale to już sprawa jej indywidualności.

Różne bywają powroty

Przyszło ich kilku, młodych ludzi o ogromnych ambicjach i chęci do pracy. Stworzyli zespół jazzowy pod nazwą „Siedem Czarcich Łap". Jako punkt honoru postawili sobie dopracowanie się dobrego poziomu. W imię też tego przeprowadzali od czasu do czasu, po uprzednich próbach podciągnięcia, bolesne operacje usuwania tych, którzy nie nadążali. Mimo to byli zżyci i koleżeńscy. Rezultaty mieli dobre, może aż za dobre jak na tak krótki czas. Kryzys zaczął się wówczas, gdy wraz z uznaniem i dobrym poziomem praca przestała być przyjemnością, a coraz bardziej stawała się zawodem. Pierwszy rzucił pracę zarobkową dobrze zapowiadający się piosenkarz zespołu. Doszedł do wniosku, że jego powołaniem jest tylko piosenka. Zaczęli się zastanawiać. Dylemat nie był bynajmniej łatwy. Poprzestać na tysiącu złotych płaconych przez Dom Kultury i pracować nadal zarobkowo, czy pójść na zawodowstwo zarabiając znacznie więcej w imię dalszego dopracowywania poziomu? Zadecydowało to drugie. To był właśnie początek końca „Siedmiu Czarcich Łap". Zaczęli urządzać się

(Dokończenie na str. 10)

HELENA PLATTA

Nina

Po górach —
nawoływań brzask:
Nina, ni-na! Nina, ni-na! —
W skalnym przesmyku
strumień rześki.
Bosa księżniczka
niesie drwa
do szarej sakli wrzącej pieśnią.
— Cekiny dzwonią,
czarczaf wionie,
szeleści spódnic szelest szparki,
aż górski księżyc w nieboskłonie
przędziwem czaru mota karki.
I z dolin ciepłych
róż aromat
rozgrzewa wino spod Tbilisi.
— Gayane tańczy w wieńcu tonów
— Aram i noc
u stóp jej dyszą.

RYSZARD LISKOWACKI

A jednak

Więc to będzie za siódmym zakrętem
nieba,
gdzie głodne gwiazdy
czyhają na wszystko co ludzkie,
na wszystko co twoje,
przydźwigane z niewdzięcznej ziemi.
Nie wybierzemy mlecznej drogi,
pójdziemy obok niej,
po wyślizganej wiatrami przestrzeni,
po ostatniej naszej długiej drodze.
— Po ostatniej?
— Boisz się?
— Boję.
A myślałem: Kto wejdzie w tamten
świat
ten nie zazana lęku rozstania.

(„Lądy bez tajemnic").

O POECIE który możnym się nie kłaniał

(Dokończenie ze str. 5)

Poeta utyskuje również na szerzenie się złośliwych plotek i bezpodstawnych zarzutów, wskazując w ten sposób na chorobliwą atmosferę wokół jego twórczości i osoby.

Następne fragmenty utworu są nieco zagadkowe. Kto wie, czy nie dochodzi tutaj do starcia z samym jenerałem.

Jakież są najmocniejsze przeciw mnie dowody?
Nadto sobie poczyna (rzecze ktoś) pan młody,
Kiedy mnie, co ni z wzrostu rówien jest ni z głowy,
Co mi we wszystkim sięga ledwie do połowy,
Śmiał to jawnie w jednym piśmie utrzymywać,
Żem bez sensu i składu śmiał wiersze pisywać.
Ale zobaczy wkrótce, co go za to czeka,
Że się ważył porywać na wielkiego człeka.

Węgierski nie prowadził literackich sporów ani z Krasickim, którego jako autora „Myszeidos" głęboko poważał, ani z Trembeckim, z którym się przyjaźnił, czy z Naruszewiczem, dla którego jako do swego dawnego nauczyciela zachował wielki respekt. Prowadził wprawdzie starościc „polemikę" ze słynnym grafomanem wieku Oświecenia — Bielawskim, ale w cytowanym wierszu zaznacza, że nie o niego tu chodzi.

Dość masz ze mnie, ze swej strony pozwól mi tej
łaski,
Że gorzej trochę piszesz niżeli Bielawski.

Wiersz ten nie może dotyczyć króla, bo ten twórczością literacką niezbyt się parał. Parał się nią natomiast Czartoryski. Już współcześni zaznaczają, że twórczość ta nie należała do najlepszych i że nie na tym polu należy szukać jego zasług. Jenerał ziem podolskich nie przywiazywał również do tej dziedziny swoich zainteresowań zbytniej wagi, zresztą nie wydawał większej części swoich utworów. Ciekawa, choć nie dotycząca omawianego wiersza, ale oświetlająca nieco owę sprawy, jest sugestia Karola Estreichera:

Sowiński Wojciech wymienia w swojej po francusku napisanej historii teatru sztukę „Natręci" jako pióra Czartoryskiego. (....). Gdy jednak próba nie powiodła się, sztukę wyśmiano, wyśmianym też został jej firmowy, a autor istotny przycichnął. Gdyby to może dalekie od prawdy przypuszczenie okazało się kiedyś istotnym, wówczas zaczepka „Natrętów" przez Węgierskiego dotykałaby pośrednio wszechwładnego potentata [6]).

Notatkę o podobnej treści znajdziemy i w informacji S. Korbuta, który zaznaczył, że komedię „Natręci" napisał Bielawski z „rozkazu" króla, a przy współudziale Czartoryskiego[7]).

Niepomyślnie układało się życie poety, który był zbyt młody, aby reprezentować w świecie ówczesnym jakąś siłę, i zbyt pozbawiony oparcia, aby sobie zapewnić niezależność materialną. A żył przecież w wieku mecenasów, kiedy dwory spełniały obowiązki dzisiejszych redakcji i księgarni wydawniczych, w wieku, w którym „wszystkie znakomitości literackie wyrastały na ciepłym łonie protekcji"[8]).

Węgierski starał się niekiedy zjednać i księcia, i króla. Pochwały nie przechodziły mu jednak ani przez usta, ani przez pióro. Satyry nasuwały się natomiast same. W „Organach" pisarz przyznaje się do tego z żartobliwym uśmiechem:

...Czy ja bocian, aby
Świat czyścić i krzykliwe zbierać z niego żaby?
Lecz wytrzymać nie mogę, nie wiem czym się dzieje,
Z chęcią bym się urzędu podjął kaznodzieja [9]).

Zgodnie z tym twierdzeniem, w utworze pt. „Ostatni wtorek", pochwały Węgierskiego wystosowane do księstwa, nieznaczne zresztą i „dystyngowane", będą mdłe i pozbawione wyrazu, natomiast świetne obrazki satyryczne zadziwiają drapieżnością spojrzenia, potęgowanym nieraz iście Naruszewiczowskim słownictwem. Nawiązując do pobytu na dworze Czartoryskich w czasie redut, poeta na widok mecenasa przypomina sobie z żalem: „W pięknym umyśle jego jam też niegdyś gościł". Ale też zastrzega zaraz, że może chwalić to, co jest godne pochwały, lecz schlebiać nie będzie. Później stara się rozdzielić sprawiedliwie poetyckie ukłony. Czartoryski to „człek miły z figury i z duszy", księżna łączy „dowcip bystry i grzeczność prawdziwą", z księżniczki Teresy będzie w przyszłości „wielki cud niewieści". Kończy jednak „Ostatni wtorek" nie w stylu panegirycznym zgoła. Na przykład:

...idźmy stąd, bo tutaj na nowe
Tany się zbierają, widzę, narodowe,
A mnie to nie bawi, że kto z tego tłoku
Pójdzie za łby o taniec lub weźmie po boku.

Cała twórczość Węgierskiego, ta oryginalna i ta przełożona z Voltaire'a lub Rousseau'a raziła króla, Czartoryskiego, arystokrację, duchowieństwo. Na dobitek Węgierski oburzył prawdopodobnie i samą cesarzową Katarzynę. W roku 1779, wskutek napisania paszkwilu na imperatorową, musiał opuścić dwór i udał się za granicę, co notuje W. Spasowicz[10]).

Poeta zwiedzi Anglię, Stany Zjednoczone, Francję, Szwajcarię, Włochy, nawiąże kontakty z Waszyngtonem, będzie szczerym przyjacielem księcia Walii. Gra w karty stanie się niekiedy jego jedynym źródłem utrzymania.

Umrze w Marsylii 1787 roku przeżywszy zaledwie 31 lat.

Nie sposób w krótkim artykule omówić dokładnie ani losów, ani twórczości młodego poety. Niemniej należy zaznaczyć, że jakkolwiek życie autora „Organów" skończyło się w bardzo młodym wieku, jego skromny dorobek poetycki zadziwia nas jednolitością poglądów, dużym wyrobieniem artystycznym, głęboką troską o zachowanie własnej godności oraz pasją krytyczną a czasami i demaskatorską.

Alina Aleksandrowicz

6) K. Estreicher, op. cit., s. XXVIII.
7) S. Korbut: Literatura polska od początków do wojny światowej, t. II, W-wa, 1929, str. 123.
8) A. G. Bem, Śmielsze błyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej (Studia i szkice literackie), W-wa, 1904, s. 48.
9) T. K. Węgierski, „Organy", W-wa, 1956, s. 23.
10) W. Spasowicz — Dzieje literatury polskiej, W-wa, s. 166.

Niepotrzebni mogą odejść...

BARBARA BOROWIAK

Do „Zachęty" wchodzimy zazwyczaj z uroczystą miną, w nabożnym skupieniu i powadze. Bo oto za chwilę staniemy twarzą w twarz z prawdziwą sztuką, z tzw. sztuką „uczoną", stanowiącą podsumowanie wieloletnich studiów i prac przygotowawczych oraz ścisłych obliczeń, wyliczeń i intelektualnych rozważań w gronie przyjaciół i znawców sztuki. Jeśli zdarza się — i to może nazbyt często — że dostrzegamy w obrazie brak jakiejkolwiek perspektywy lub wadliwe jej zastosowanie, dochodzimy do wniosku, iż widocznie artysta miał takie a nie inne zamierzenie i konsekwentnie je realizował. Nieporadność formy, nieudolność, brak rzetelnego stosunku do dzieła sztuki – interpretujemy jako „świadomy, celowy prymitywizm" artysty i zachłystujemy się ze szczęścia, że tak dogłębnie zrozumieliśmy intencje twórcy obrazu. A jeśli zdarzy nam się, że pomimo wielkiego nabożeństwa do sztuki i jak najszczerszych chęci nie potrafimy zachwycić się obrazem ani zrozumieć go, ani też odcyfować, i patrzymy nań ze źle ukrywanym rozczarowaniem — określamy taki obraz wobec samych siebie i wobec bliźnich, iż „jest przeintelektualizowany i dlatego nie chwyta". I dalibyśmy się raczej pokrajać w kawałki niż mielibyśmy odwagę powiedzieć wszem wobec, że obraz jest pospolitym bohomazem czy nieudolnym pacykarstwem człowieka pozbawionego kompletnie wrażliwości na barwę, kształt — nie mówiąc już o innych bardziej skomplikowanych zagadnieniach malarstwa. Zresztą nazwanoby nas profanami i popatrzonoby na nas z politowaniem jak na półgłówków, którzy nigdy nie dorosną do rozumienia rzeczy wielkich i mądrych. I dlatego niejeden z nas siedzi cicho, przyswajając sobie ze skrzętnością zapobiegliwej gospodyni cudze poglądy, którymi później popisuje się w czasie dyskusji, towarzyskich rozmów i innych okazji.

Ale przecież nie zawsze jesteśmy tak bojaźliwi i ostrożni w formułowaniu własnych poglądów na sztukę.

Zmieniamy się nie do poznania, stajemy się odważni i wręcz napastliwi — lub w najlepszym wypadku obojętni — wobec sztuki amatorów, sztuki tworzonej nie zawodowo, nie dla poklasku i korzyści materialnych, lecz dla własnej, wewnętrznej radości, opromieniającej chwile codziennego mozołu pracy zawodowej. Zasugerowani faktem, że to sztuka tylko amatorów, dyletantów nie posiadających gruntownych studiów artystycznych ani należytego przygotowania praktycznego — patrzymy na obrazy amatorów często z pobłażliwością lub nawet z politowaniem, że na takiej wystawie nie widzimy zwiedzających tłumów i fotoreporterów, robiących w gorączkowym pośpiechu zdjęcia i opisy ciekawszych prac malarskich.

Potęga znanego nazwiska jest wielka. Poparcie oficjalnych czynników i instytucji podnosi twórcę do rangi artysty, choć może nigdy nim nie był i nie będzie. Bezimienny artysta, nie legitymujący się dyplomem akademii sztuk plastycznych, torujący sobie drogę do sztuki poprzez codzienne trudności i obowiązki, zostanie tylko kopciuszkiem wobec tzw. sztuki „uczonej", kopciuszkiem, którego od czasu do czasu poklepie się protekcjonalnie po ramieniu, z miną pełną wyższości.

Postawa taka wobec malarzy amatorów jest zasadniczym błędem, wartym sprostowania. W dzisiejszych czasach, kiedy podnosi się coraz bardziej poziom wiedzy i zainteresowania sztuką wśród szerokich kręgów społeczeństwa, a możliwości ludzkie w zakresie tworzenia sztuki nie wzmagają się — jeśli nawet nie kurczą się — w dzisiejszych czasach różnica między obrazami malarza-amatora a malarza zawodowego zaciera się coraz bardziej. Tu i ówdzie wśród odbiorców dzieł sztuki podnoszą się głosy:

— Aby malować obrazy, nie trzeba odbywać w tym celu specjalnych studiów artystycznych. Wystarczy do tego odrobina wrażliwości na barwy i ich wzajemne ustosunkowanie — i obrazy można tworzyć całymi tuzinami.

Złośliwcy twierdzą nawet, że zdolności malarskie nie są konieczne; z powodzeniem można zastąpić je sprytem w zdobyciu legitymacji związku plastyków, na podstawie odbytych studiów.

I tak, gdybyśmy chcieli porównać wystawę amatorskiego koła plastyków otwartą w Stołecznym Domu Kultury — z VIII wystawą malarstwa okręgu warszawskiego — doszlibyśmy niewątpliwie do paradoksalnych, aczkolwiek nie pozbawionych prawdy, wniosków.

Oto niektóre z nich.

Gdybyśmy połączyli eksponaty obu wystaw — i następnie kazali widzom i artystom z okręgów pozawarszawskich wskazać, które z obrazów wyszły spod ręki amatorów — doszłoby do wielu kompromitujących pomyłek. Czy dlatego, że obrazy amatorów stoją na imponująco wysokim poziomie? Bynajmniej. Raczej dlatego, że obrazy zawodowych artystów stoją na zbyt niskim poziomie.

Najlepsze prace zawodowych artystów przewyższają bez wątpienia najlepsze spośród prac amatorskich. Lecz tak nieudolnych i obrzydliwych kiczów, jakich mnóstwo ukazało się na VIII wystawie okręgu warszawskiego w „Zachęcie" — nie odważyłby się pokazać publicznie żaden ambitny amator; świadczy o tym między innymi ostatnia wystawa w Stołecznym Domu Kultury, zatytułowana „Amatorzy malują".

Nie znaczy to jednak, że lansujemy nieuctwo i lekceważymy wartość nauki, teoretycznego przygotowania do pracy twórczej malarza. Chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę, że najrzetelniejsze nawet studia nie zastąpią talentu, który jest nieodzowny. Wiele lat wysiłków, syzyfowych prac i zaparcia przyniesie w efekcie przykre rozczarowanie, gorycz i nieuzasadnione poczucie krzywdy. Zamiast tworzyć obrazy „przeintelektualizowane", zdradzające pustkę uczuć i myśli, lub obrazy „świadomie prymitywne", będące najczęściej wynikiem zarówno braku zdolności jak i opanowania warsztatu artystycznego — lepiej zrobić pędzlem zamaszysty krzyżyk na swoim geniuszu i zaciągnąć się do cechu malarzy pokojowych. Tu można również znaleźć wspaniałe pole do popisu, a oprócz tego sympatię i uznanie ludzi — co prawda nie snobów, tylko tych przeciętnych „zjadaczy chleba".

Zastanówmy się z kolei nad malarstwem amatorskim na marginesie VI dorocznej wystawy amatorskiego koła plastyków, zorganizowanej w Stołecznym Domu Kultury.

Sztuka ta rozwija się spontanicznie, z własnej potrzeby i wewnętrznego musu w podobny sposób, jak rozwijała się prosta, ale pełna prawdy życiowej i surowego piękna sztuka Van Gogha czy sztuka naszych ludowych malarzy, Nikifora i Ociepki. Nie zrodziła jej walka o byt materialny czy żądza rozgłosu — lecz przedziwna i silna tęsknota do piękna, do formowania tego piękna własnymi rękoma i wyobraźnią.

I dlatego sztuka amatorów — pomimo wielu niedociągnięć i uporczywej, nie zawsze zwycięskiej walki w podporządkowywaniu sobie tworzywa artystycznego — wzrusza nas swoim szczerym, niezakłamanym stosunkiem do świata.

Weźmy dla przykładu twórczość amatorską Kazimierza Sitkowskiego, z zawodu hydraulika, który związał się ze Stołecznym Domem Kultury od pięciu lat, malując swoje obrazy pod kierunkiem Barbary Jonschar i Antoniego Pisarka.

Twórczość Sitkowskiego rozwija się zdecydowanie pod znakiem realizmu. Interesuje go rzeczywistość, lecz nie ta, którą widzi na codzień i którą jest przesycony, jak domy, wielkie gmachy, gwarne, zapchane tłumem ulice, tramwaje, pojazdy, codzienna jego praca. Sztuka jego jest ucieczką od powszedniości, od gwaru i szumu wielkiego miasta, w którym mieszka. Jego barwne marzenia osnute są na tle morza i gór. Interesują go odludne, samotne zakątki nad morzem, gdzie suszą się w słońcu sieci rybackie, falują przesypywane wiatrem wydmy, puste plaże o smukłych, powyginanych od wiatru sosnach. Przy pomocy ciemnych, nasyconych szafirów rozwija swe wizje spienionych, grzywiastych fal i rozpięgo nad nimi nieba — odizolowanych od lądu. Poetyckie rozpamiętywanie uroku fal zawierają jego trzypejzaże przedstawiające sztorm na morzu. Udane są również inne jego pejzaże marynistyczne — jak „Sieci nad morzem" i „Morze z sosnami".

Jego pejzaże górskie są miłe i pełne wdzięku, choć nie pozbawione naiwności. Mankamentem ich — podobnie jak i pejzaży marynistycznych — jest brak perspektywy powietrznej; wykreślona poprawnie przestrzeń jest martwa, wypompowana z powietrza. Próby w kierunku opanowania perspektywy powietrznej nie dają na razie pozytywnych rezultatów, gdyż Sitkowski łagodząc na odległość ostrość barw, nie zaciera jednak konturów przedmiotów, które pozostają tak samo wyraźne jak na planach bliższych.

Można byłoby zacytować jeszcze sporo prac godnych uwagi, ale nie piszę recenzji i wydaje mi się, że zasadnicze założenia mego artykułu, ujawnione na początku, poparłam już dostateczną liczbą przykładów.

Barbara Czarycka, liczaca lat 24, z zawodu inżynier-chemik, uprawia — podobnie jak Sitkowski — prawie wyłącznie pejzaż. Jej dwa olejne obrazy przedstawiające pejzaże górskie zdradzają tendencję do poetyckiego interpretowania rzeczywistości, do przesłaniania przedmiotów jakby mgłą, do nadawania im pewnej miękkości lirycznej. To uczuciowe podejście do rzeczywistości łączy się u niej z ogólnikowym jej odtwarzaniem, z dążnością do uchwycenia wyłącznie impresji pejzażu, zaznaczenia go przy pomocy kilku zarysów i plam, co widać szczególnie w jej — zresztą zbyt jaskrawych — akwarelach.

Wyjątkiem jest tu Barbara Spiechowicz, która obraca się swobodnie zarówno w kręgu realizmu jak i abstrakcji, choć w zasadzie nie łączy ze sobą tych dwóch kierunków. Jedną z lepszych jej abstrakcji stanowi „Fantazja" o zestawieniach żywych, intensywnych czerwieni i szafirów. Inne jej abstrakcje, niezłe pod względem kompozycji lini i figur geometrycznych — posiadają nieciekawe zestawienia barw mętno-burych, poszarzałych.

W każdym razie na jej przykładzie widać jasno, że malarz amator, a zatem malarz z prawdziwego powołania, bo nie ulegający w swej twórczości presji otoczenia ani warunków bytowych — wychodzi najchętniej od realizmu, tworząc przedmioty takie, jakimi widzi je rzeczywiście. Abstrakcja — nie stanowiąca dla niego czegoś zupełnie obcego i niezmiernie trudnego do skomponowania, jak usiłują to sugerować plastycy zawodowi — stanowi tylko produkt uboczny twórczości amatorskiej, daninę złożoną współczesności. Dla wielu amatorów abstrakcja jako przedmiot sztuki w ogóle nie istnieje.

BARBARA SPIECHOWICZ – CZERWONE I CZARNE
Szkic tempera

KOSZULA

(Dokończenie ze str. 5)

Znajoma ma czworo dzieci. Takie schodki: co rok to wyżej. Obstąpiły właśnie matkę i zadzierając głowy patrzą, jak zdejmuje z szafy zapomniany pakuneczek. Otrzepuje go z kurzu.

— Nie, dzieciom się nie przyda — mówi Anna i chowa pakunek do torby. Potem, na ulicy, Annę opadają posępne myśli. Co robić z tą koszulą? Wrzucić może do Wisły? Spalić? Wyprać, zacerować i spać w niej? Coś przecież trzeba zrobić z tą koszulą trwalszą od życia, od miłości, od ciekawości znajomej, która nie zajrzała do szarego papieru przez lat szesnaście.

Most. Stąd widać było łuny płonącego getta. Może właśnie w tej chwili, kiedy Anna przechodziła tędy patrząc na czarno-czerwone łuny — zginęła tamta Żydówka? Wyszarpnięta z domu, w nocnej koszuli...

Martwy przedmiot. Martwy a nosi na sobie tyle wydarzeń, wciąż żywych, o których zapomnieć niepodobna.

Wrzucić do Wisły.

Anna zaciska powieki i ostrożnie przesuwa rękę nad poręczą. Pakuneczek już odrywa się jej od palców, już...

Ktoś ją szarpnął za rękę.

— Co ty tam wrzucasz?

Przed Anną stoi stara kobieta. Może to tamta handlarka sprzed Żelaznej Bramy? Czerwona, zła, włosy wyłażą spod chustki. Wstrętna, o zuchwałym głosie i świdrujących oczach.

— Dziecko topisz?

— Dziecko?

Już pełno gapiów, już mundur milicjanta. Anna chowa paczkę do torby. Wzrusza ramionami i odchodzi wolno, czując na plecach podejrzliwe, złe spojrzenie zostawionych za sobą ludzi.

Joanna Żwirska

Z CZASOPISM *coś niecoś* O LITERATURZE

Celem zapoznania się ze stosunkiem naszych czytelników do współczesnej literatury opublikowaliśmy w n-rze 3 „Kameny" ankietę, która zawiera m.in. pytanie: „Jak widzisz perspektywy literatury na przyszłość?" W związku z tym warto zwrócić uwagę na styczniowy numer miesięcznika „Znak", gdzie przeszło czterdzieści stron poświęcono właśnie sprawie losu książki. Ukazały się tu ciekawe wypowiedzi kilku wybitnych pisarzy polskich, sprowokowane niejako pesymistycznym raczej tonem wielkiego numeru *„The Times Literary Supplement"* pt. Książki w zmieniającym się świecie (*„Books in a Changing World"*). Otóż glosa Jerzego Zawieyskiego w „Znaku" rozszerza problem, jak wskazuje już sam jej tytuł: „Czy upadek sztuki?" Wracając zresztą do losów literatury, przypomina J. Zawieyski, że w dwudziestoleciu zaatakował u nas powieść S. I. Witkiewicz, porównujący ten gatunek literacki do worka, w którym się wszystko mieści. Sam jednak Witkacy napisał... dwie doskonałe powieści. Ostatnio — dodaje Zawieyski — znakomity poeta Julian Przyboś raczył obrzucić powieść inwektywami. Obwieszczał on koniec powieści, a przecie —

to nieprawe, źle urodzone dziecię literatury... zrobiło świetną karierę. Niech powiedzą o tym takie nazwiska, jak Walter Scott, Balzac, Stendhal, Flaubert, Dostojewski, Tołstoj, Sigrida Undset, Conrad i u szczytu (dotychczas u szczytu!) wielki Tomasz Mann!

Obawa, że rozwój techniki przyniesie zagładę sztuki, wydaje się Zawieyskiemu z gruntu powierzchowna i fałszywa:

Mam inną wizję przyszłej epoki, kiedy człowiek, zastąpiony przez mózg elektronowy, będzie miał czas... Zagadnienie wykorzystania tego czasu będzie jednym z najpoważniejszych zagadnień przyszłej epoki. Myślę też na podstawie logicznego wnioskowania, że wówczas to człowiek będzie zajmował się artystycznym rzemiosłem, filozofią, religią — nade wszystko sztuką. Więc i literaturą, więc także powieścią. Kto wie, czy rozwój techniki w ogóle nie prowadzi nas do prawdziwej pełni człowieczeństwa, do rozwoju życia moralnego i umysłowego.

Nawiasem mówiąc, ta arcysłuszna myśl przypomina trochę Pascalowe „wynalezienie matematyki". *Nous autres*, którzy przeszliśmy przez niejedno „szkolenie", mamy ją (*mutatis mutandis!*) dawno zaszczepioną w mózgach.

Stefan Kisielewski również nie zawęża odpowiedzi do sprawy przeżycia się czy nie przeżycia powieści. Chodzi mu w ogóle o losy gatunku sztuki zwanego prozą literacką, polegającego na „pisemnym opowiadaniu ciekawych historii". Zdaniem Kisielewskiego —

o zestarzeniu względnie przeżyciu się jakiegoś gatunku sztuki lub, inaczej mówiąc, rodzaju odbioru sztuki, mówić można wówczas, jeśli postęp techniczny zastępuje ten rodzaj innym, mającym podobną istotę a wydoskonalonym, zwielokrotnionym i zmodyfikowanym. W tym sensie można np. postawić pytanie, czy wobec rozwoju filmu dźwiękowego i telewizji nie przeżył się teatr.

Natomiast dla gatunku sztuki zwanego prozą literacką nie widać w dzisiejszym świecie techniczno-artystycznym odpowiednika ani konkurencji i trudno się spodziewać, aby najbardziej choćby fantastyczny rozwój techniki mógł taką konkurencję przynieść. Bowiem specyfika tego gatunku jest niepowtarzalna i w zasadzie bardzo ściśle określona: możliwy jest rozwój w głąb, wewnątrz gatunku jako takiego, nie sposób natomiast wyobrazić sobie jakiejś zmiany, ulepszenia samej zasady, odbioru, samej konwencji artystycznej charakteryzującej ten gatunek.

Prozę powieściową można nazwać idealnym „teatrem myśli i wyobraźni":

Czytelnik wykonuje na tle percepcji tekstu ogromną a całkowicie indywidualną pracę myślowo- wyobraźniową, tekst jest podnietą, wywołującą w nim cały szereg skomplikowanych, łańcuchowych reakcji kojarzeniowych...

Poza tym:

Drugą niezwykle charakterystyczną cechą tego gatunku sztuki jest fakt, że czytelnik najzupełniej autonomicznie reguluje sobie czasowo całościowy przebieg jej odbioru. Można czytać powieść jednym ciągiem, można z przerwami, których długość i częstotliwość zależy od czytającego. Można najpierw pobieżnie zapoznać się z fabułą, a potem czytać dokładnie i po kolei. Można powtarzać lekturę poszczególnych fragmentów. W ogóle można wszystko. ...Jeszcze jedną, bardzo zewnętrzną cechą techniki odbioru dzieła literackiego jest fakt, że czytelnik sam wybiera sobie okoliczności, w których ma zamiar włączyć swoją myśl i swoją wyobraźnię do procesu kojarzeniowo współtwórczego, jakim jest czytanie. Można czytać w tramwaju, w przerwach pracy, w domu, na spacerze, siedząc, chodząc, w poczekalni dentysty, w kolejce po mięso. Książka to kieszonkowy teatrzyk myśli...

No, powiedzmy szczerze — te możliwości drugiej i trzeciej kategorii, licznie wyszczególnione przez St. Kisielewskiego, niekoniecznie kwalifikują percepcję utworu literackiego do najwyższej rangi (pamiętacie problem części i cząstek u Gombrowicza w „Ferdydurke"?), ale przyznać trzeba, iż przyczyniają się one niewątpliwie do poczytności powieści.

Pytanie: „Czy powieść się przeżyła?" należałoby zamienić na inne: „Jaka powieść się przeżyła?" Lecz w ogóle z tym „przeżyciem się" trzeba jednak obchodzić się bardzo ostrożnie — mówi Kisielewski — bo pojęcie powieści jako formy literackiej jest rozciągliwe. „Niewątpliwie formę powieści oczekuje jeszcze wiele eksperymentów i wzbogacających odkryć". A spośród różnych, kontrastowych nieraz koncepcji współczesnych — która jest naprawdę „nowoczesna?" Czy posługująca się z precyzją skalpelem psychologicznym, czy lansująca metodę rygorystycznej zewnętrzności?

Myślę, że kryterium absolutnej nowoczesności w prozie literackiej jest nieporozumieniem i że nigdy jedna metoda nie wyprze całkowicie innych. Jest tu raczej różnica temperamentów niż epok... Wydaje mi się, że wachlarz gatunków powieści współczesnej (tj. pisanej dziś) zawiera ich wielką mnogość, że wszystkie te gatunki funkcjonują w jednym czasie na zasadzie specyficznej wieży Babel.

W tymże numerze „Znaku" Antoni Gołubiew ujmuje rzecz po molierowsku (pobrzmiewa tu *„Reprenez votre Paris — j'aime mieux ma mie!"*):

To nic, że miłościwie nam panująca moda literacka jak ognia boi się naiwności — i drwi bezlitośnie z każdej próby prostego opowiadania o myślach, o uczuciach, o przeżyciach. Ta dyktatura jest niedługa, bowiem tęsknota ludzka wciąż wzrasta. Wrócimy do prostych słów, zwyczajnych zdań w rodzaju: „jestem bardzo wzruszony", „Jaś mocno kochał Kasię i oboje byli szczęśliwi", „chcę być dobrym człowiekiem", „sosna jest pięknym drzewem" — do zwykłych wierszy i do powieści, które będą najzwyczajniejszym opowiadaniem o życiu ludzkim jak je widzimy współcześnie.

Kiedy literatura nie będzie się bała być naiwną, znowu będzie odkrywcza — zachęca Gołubiew —

a to nastąpi niedługo: jesteśmy już nazbyt zmęczeni swą nieufnością i narzuconym sobie samym dziwaczeniem się formalnym, które ma nam przesłonić brak ostrości widzenia.

Humanistyczne racje na korzyść powieści przytacza Zofia Starowieyska — Morstinowa:

...powieść „kosmiczna" i eschatologiczna zaczyna coraz częściej interesować się z powrotem „wnętrzem" człowieka, od którego w epoce swego „uspołeczniania" odwracała się z taką pogardą. Cóż bowiem — mówiono — znaczą odcienie ludzkich uczuć wobec bomby H? Ale oto spostrzeżono się, że bomba H jest w ręku człowieka i od jego woli zależy, czy glob nasz zostanie lub nie zostanie wysadzony... W sercu człowieka rozstrzyga się przyszłość świata.

Więc coraz częściej widzimy, jak powieść zwraca się do człowieka, jego przeżyć i zawikłań.

I ta powieść zdaje się zawsze budzić powszechne zainteresowanie... Człowiek szuka w lekturze przede wszystkim siebie, odbicia własnych spraw, tęsknot i niepokojów. A równocześnie szuka w niej wytchnienia, oderwania od swych trosk i narkotyku. I chyba powieść, która będzie zawierać te dwa elementy, nigdy nie padnie ofiarą kryzysu.

Bardzo dociekliwą wypowiedź daje Hanna Malewska, stawiająca przed powieścią nader odpowiedzialne zadanie:

Zdaje się, że w rozbitej, zatomizowanej epoce sztuka par excellence humanistyczna: powieść, ma do odegrania szczególną rolę. Grozi skrajna specjalizacja i zmechanizowanie wiedzy i życia: powieść „żywo narodzona" z istoty swojej przynosi jakąś choćby skromną, cząstkową humanistyczną syntezę... Gdy twarz człowieka znika nawet z nauk, które kiedyś zwano humaniora, a jeszcze w XVII wieku zaliczano je do belles lettres — esej i powieść intelektualna, socjologiczna, historyczna, psychologiczna w szerokim sensie, nawet po prostu powieść (która nie może się obejść bez człowieka) będzie — wierzyć wolno — dopływem tej życiowej wiedzy, dla której nie darmo wielu dawnych artystów nazywano mistrzami i mędrcami, choć nie posiadali doktoratów. Psychologia naukowa, historia, filozofia nie wywłaszczą, moim zdaniem, powieści — przeciwnie, obwarowując się na pozycjach coraz bardziej specjalnych, zostawiają szerokie i konieczne chyba pole prozie artystycznej.

Powieść może być skutecznym antydotum na depersonalizację współczesnego człowieka — mówi H. Malewska — na jego upodobnienie do tłumu. Jedynie wówczas, gdyby się sama usunęła z miejsca, które zajmowała i powinna zajmować w kulturze, — mogłaby „ponieść klęskę w walce konkurencyjnej z rozrywkami b i e r n y m i, z popularyzacją naukową, z przyśpieszonym biegiem życia, ze standaryzacją ogólną".

Rejestrując, oczywiście z uznaniem, takie zdobycze współczesnej prozy, jak jej dążenie do wzmożonego funkcjonalizmu, do stylu „przezroczystego" i niezauważalnego, do bardzo surowej konstrukcji, Hanna Malewska przypomina, że skrótowość nie oznacza koniecznie małych form. Chodzi o ładunek, o tzw. „gęstość", która nie powinna jednak być zaprzeczeniem lekkości.

Selekcja, tak ogrodnicza jak i pisarska, jest czynnością pozytywną. Dobieraniem, krzyżowaniem rzeczy najlepszych i szukaniem jeszcze lepszych. Szukaniem w sobie, w życiu, konfrontacją z dorobkiem kulturalnym... Ale to pewna, że żyją w sztuce rzeczy żywe, a nie wykombinowane na zasadzie, że „tego jeszcze nie było". Ani rozsypane dlatego, że spoiwo mogłoby być jakąś „konwencją". Rozsypanie i wykombinowanie rodzą nudę.

Jeżeli nie będziemy mieć prozaików współczesnych do głębi l u d z k i c h — mówi Hanna Malewska — utracimy czytelnika. Ale pisarka boi się nie tylko presji snobizmu, boi się także nacisku wulgarności i łatwizny gustów tzw. masowego czytelnika albo urzędowego mecenasa. Analogiczne zatroskanie znalazło wyraz w artykule Jerzego Broszkiewicza „O skali trudności i akcentach" („P r z e g l ą d K u l t u r a l n y nr 9). Ustalmy — pisze Broszkiewicz —

że nie wolno nam kłaść znaku równania pomiędzy tematem upowszechnienia a tematem twórczości. Że nie można w związku z tym naginać ambicji twórczych do możliwości percepcyjnych (ideowych czy estetycznych).

Co do bezpośrednio interesującej pisarzy polskich sprawy mecenatu państwa socjalistycznego, to Broszkiewicz uznaje za rzecz naturalną udzielenie poparcia przede wszystkim tym ideom i postawom, które się uważa za sojuszników w k s z t a ł c e n i u i k s z t a ł t o w a n i u świadomości społecznej, ale: poparcie to nie może dokonywać się inaczej

jak w obliczu żywej, trwającej stale polemiki k o n k r e t n y c h d z i e ł i t w ó r c z y c h f a k t ó w... podług zasady — dopuszczam do dyskusji, bo fakty są po mojej stronie. I dlatego nie wyciszam, lecz przekonuję.

Wybitnie pogłębioną analizę zagadnień literackich, z pozycji walki o literaturę współdziałającą z dążeniami Partii zmierzającymi do zbudowania socjalizmu w Polsce — przynosi cz. I eseju Stefana Żółkiewskiego pt. „(głos z miejsca na lewicy:)", w ostanim numerze „N o w e j K u l t u r y". Przyznając, że technika kreacjonizmu, który nie odtwarza rzeczywistych sytuacji, ale stwarza sam sytuacje modelowe, symboliczne, — że ta technika może wzbogacić realizm odtwarzający sytuacje rzeczywiste, czyli realizm opisowy, Żółkiewski sądzi jednak, iż gdyby technika kreacjonistyczna miała „zdominować zasadnicze dyrektywy poetyki realizmu", mogłaby ona stać się źródłem klęski. Wyłania się przy tym sprawa sporu między zwolennikami historyzmu a wyznawcami moralizmu:

Wizja świata właściwa historyzmowi i literatura z nią związana stara się na analizie... historycznych różnic rzeczywistych sytuacji ludzkich oprzeć ich ocenę i kwalifika-

(Dokończenie na str. 12)

Zamkowe wieczory

(Dokończenie ze str. 8)

pojedynczo. Piosenkarz śpiewał na koncertach i w lokalach, najzdolniejszy z zespołu, Rysiek, niegdyś wyrzucony ze szkoły muzycznej, dostał się pod opiekę najlepszego profesora klarnecisty w Polsce, Podsiadłego w Warszawie, u którego jest najlepszym uczniem. Mariusz ożenił się i wyjechał do Szczecina. Zespół przestał istnieć. Można by powiedzieć: normalny koniec, gdyż ludzie ci wyrośli ponad poziom pracy amatorskiej. Kilku, o których mówiliśmy poprzednio, rzeczywiście, a reszta? — przyszli niedawno do Domu Kultury z prośbą o pozwolenie stworzenia nowego zespołu, z gorącym przyrzeczeniem, że tym razem będą cierpliwsi. Dla ludzi odpowiedzialnych za pracę wychowawczą wśród młodzieży, złączonej przecież tylko dobrą wolą, problem — kiedy się kończy artysta amator, a zaczyna się zawodowy, jest jednym z najtrudniejszych.

K u l t u r a b e z k r a w a t a

Aby dostać się do tej świetlicy, trzeba wsiąść w autobus, wyskakując na 1-go Maja. Wchodzi się tu wprost z ulicy. Od razu uderza odrapane wnętrze i woda lejąca się po ścianie. Rozbierać się nie można, dwa miesiące nie palono.

Akurat dwa miesiące. Tyle bowiem czasu trwała bitwa o tę nędzną salkę, w której przed paru laty już zagnieździł się klub młodzieżowy „Chochlik". Był, ale na skutek iście chochlikowego partykularyzmu WZSP został zamknięty. Tak po prostu. Nagle i właściwie bez powodu. Pewnego dnia młodzież ujrzała na drzwiach ogromną kłódkę.

Nie dali za wygraną. Zaczęli chodzić. Zbierali się w podcieniach przy ul. Królewskiej, radzili. Szturmowali do kierowniczki Eugenii Bożek, ta jednak, sama rozgoryczona tym wszystkim, niewiele mogła pomóc. Wydeptali ścieżki do wiceprzewodniczącego PM RN Iskrzyckiego, posła Lejwody, wreszcie przyszli na Zamek.

— Dajcie nam naszą świetlicę, nie mamy gdzie pójść, co z sobą robić.

— Nie macie? Stoi dla was otworem piękny klub ZMS na ZOR Zachód. Idźcie.

Poszli, patrzyli, medytowali.

— Nie... Piękny to on jest, owszem, telewizja, nowoczesny, ale nie dla nas.

„Chochlika" otworzono pod protektoratem i opieką LDK. Młodzież po dwóch miesiącach tułaczki znów poczuła się u siebie w domu. Właśnie tam, na 1-go Maja, gdzie wyrośli i gdzie pracują w fabrykach i spółdzielniach. Ćwiczy zespół taneczny, recytatorski, jazzowy, gra kapela i mandoliniści, zbiera się z rozsypki zespół dramatyczny.

— Że zimno i obskurnie? To nic. Będzie lepiej. Gdy przyjdzie lato, znów pojedziemy z występami na wieś, grunt że nasza „chochlikowa rodzina" znów żyje.

Czesław Klepacki

NASZ EKRAN

UCZCIWY „ORZEŁ"

JEDNĄ z cech polskiej sztuki współczesnej — bez względu na dziedzinę — jest maksymalizm. Ogromna większość twórców — ludzi pióra, pędzla, dłuta czy ekranu — porywa się na osiągnięcia najwyższej rangi, aspiruje do odkrywczości formalnej oraz intelektualnej, gardząc wszelkim „rzemieślniczym" kroczeniem po przetartych szlakach. Stąd rezultaty: trochę dzieł istotnie wybitnych, mnóstwo prób mniej lub bardziej poronionych i uderzająco mało utworów dobrej średniej miary, które w stosunku do arcydzieł powinny być tym, czym dni powszednie w stosunku do niedziel. W kinematografii można by zrzucać ten stan rzeczy na wciąż jeszcze niewielką wydajność ilościową produkcji, która nie pozwala polskim ludziom filmu na normalne „wyżycie się", ale w innych dziedzinach twórczości nie ma ograniczeń natury technicznej, a zaznacza się taż sama dysproporcja. Na przykład w literaturze między dziełami o wielkich spełnionych lub niespełnionych ambicjach, a zdecydowaną i cyniczną szmirą jest mnóstwo pustej przestrzeni, której nie zapełniają utwory polskich Maughamów czy Mauroisów. Korzenie tego zjawiska tkwią chyba głęboko w historii naszej kultury i po prostu w historii. Nad kulturą polską jak może nad żadną inną zaciążył okres romantyzmu, z jego kultem natchnienia oraz improwizacji, pogardą dla „rzemiosła" i „mierzeniem siły na zamiary". A równocześnie nasza wciąż rwąca się historia narodowa, jeśli dawała artystom szansę, to jakże często jedną jedyną, nic więc dziwnego, że świadomi jej niepowtarzalności, starali się za każdym razem wznieść do najwyższego lotu, choćby to miał być lot Ikarowy. I takie loty zrosły się jakoś z polskim charakterem, stały się cząstką — chyba nie najgodniejszą kontynuowania — naszej tradycji narodowej.

Z tym większym naciskiem podkreślić należy zasługę „Orła", a raczej jego twórców — Janusza Meissnera i Leonarda Buczkowskiego: „Orzeł" to bodajże pierwszy film polskiej produkcji, który nie był zamierzony jako arcydzieło, ale miał być i j e s t dobrym, udanym filmem średniej klasy, o ambicjach nie najwyższych, ale za to mających pełne pokrycie w możliwościach warsztatu.

„Orzeł" należy do kategorii filmów o męstwie i spełnionym do końca obowiązku żołnierskim, jakich wiele — w różnych wydaniach — nakręcono bezpośrednio po wojnie na Zachodzie, zwłaszcza w krajach anglosaskich. Autorzy wyszli od faktów autentycznych, zachowując ich zasadniczy schemat, ale przetwarzając szczegóły zgodnie z potrzebą dramaturgii filmowej. Ten podkład autentyzmu nadaje filmowi szczególny walor emocjonalny: ścisła rekonstrukcja dokumentalna w tym wypadku byłaby bardzo trudna, a nawet niemożliwa, choćby z tego względu, iż żaden z członków bohaterskiej załogi historycznego „Orła" nie doczekał końca wojny. Film Meissnera i Buczkowskiego mówi o faktach i o czynach; szkicuje postawy, poprzestając na aluzjach do głębszej motywacji; nie przynosi odkryć psychologicznych, ale też nie drażni pseudogłębią, pretensjonalnym udziwnieniem i rekwizytami z lamusa ekspresjonistycznego, w których dziwnie lubują się niektórzy mistrzowie naszej kinematografii. Język filmu jest prosty i bezpretensjonalny: to najważniejsza i niebylejaka zaleta. Dzięki trafnej konstrukcji dramaturgicznej autorzy uniknęli pewnej monotonii, jaką groził temat; dzięki odpowiedniemu rozłożeniu punktów kulminacyjnych uwaga widza utrzymana jest w stałym napięciu; sceny dramatyczne przeplatają się z epizodami nie pozbawionymi humoru. Tu zresztą nasuwa się jedyny poważniejszy zarzut, jaki można postawić scenariuszowi: humor chwilami jest trochę za nadto „pod publiczkę", która to publiczka reaguje zresztą bardzo wdzięcznie na wszelkie padające z ekranu „mocne" słowa. Robota operatorska jest czysta i nie obliczona na tani efekt; aktorstwo na dobrym, wyrównanym poziomie. Widzowie lubelscy z przyjemnością oglądają w jednej z czołowych ról Jana Machulskiego, który dał przekonującą, bardzo ludzką w wymiarze sylwetkę porucznika Pileckiego.

ORZEŁ to film o bohaterstwie, ale nie ma w nim bohaterszczyzny; jest napięcie — nie ma pogoni za sensacją; jest optymistyczne spojrzenie na człowieka — nie ma hurra-optymizmu; jest prostota — nie ma wulgaryzowania. A bardzo polska sentencja, która streszcza ideę filmu: „Jeśli iść na dno, to z honorem" mogłaby znaleźć szersze zastosowanie intelektualne, niż się to na pierwszy rzut oka zdaje.

Jednym słowem: dobra i uczciwa robota.

P.s. Nie wiem dlaczego (chyba z wrodzonej przekory?) sympatyczny skądinąd „Yak" ze Sztandaru Ludu" postawił sobie za cel życia „niszczenie" przy każdej okazji, a więc i przy okazji „Orła" — Cybulskiego i w ogóle filmu „Popiół i diament". A przecież, przy całym wyż sformułowanym uznaniu dla „Orła", trzeba stwierdzić, że są to dzieła całkiem różnej kategorii i zestawianie ich jest równie krzywdzące dla jednego jak dla drugiego.

Tajoj

IRENA KOZIEJOWSKA

Zima

Czcionki wron
spadają na stronicę śniegu.
Druk smutnej epopei w toku...
Ile zimowych dni,
tyle w tej książce stron,
dla której papier biały,
czerpany
...spod obłoków...

Łatwo na świecie

— Jakże!? — Łatwo!
O! wóz mój słychać już na moście.
Tylko się trochę los pogmatwał
i koła grzęzną w samotności.

— Koniki moje — łączko, łączko,
jakże koników swoich nie paść?

Karymi końmi naprzód jadę,
karymi końmi naprzód jadę

w przepaść.

SPRAWY BŁAHE I NIEBŁAHE

Dom starości

Skoro warunki stwarzają ludzi, to trzeba stwarzać ludzkie warunki

Karol Marks

SĄ dwie krzywdy, obok których trudno przejść obojętnie: krzywda dziecka i krzywda człowieka starego. Krzywda dziecka łatwiej trafia do serca postronnych, a przecież jest ona mniej dotkliwa niż cierpienie znoszone przez starców. Dziecko wolne jest od dolegliwości fizycznych i psychicznych wieku podeszłego, przed dzieckiem stoi przyszłość, niosąca może kompensatę za obecne niedole; przed starcami nie ma jutra, krzywda ich jest niejako ostateczna, nie rozjaśnia jej żadna nadzieja. Dla uzmysłowienia problemu przypomnijmy, że wielu jest chętnych, gotowych adoptować samotne i smutne dziecko; a kto kiedy zaadoptował samotnego i smutnego starca?

W prasie mnożą się ostatnio wiadomości o nieludzkim traktowaniu, z jakim spotykają się ludzie wiekowi, zdani na łaskę, a raczej niełaskę najbliższych. Niemłoda już, ale widać krzepka osoba znęcała się nad staruszką siostrą, przywiązując ją do nogi stołu. Matka i córka staną przed sądem, oskarżone o mękę i śmierć babki Łobinowej. Prasa lubelska donosiła niedawno o staruszce żyjącej w niesłychanie nędznych warunkach, na dobitek z gromadką nieletnich wnuków, opuszczonych przez ojca. Dręczenie starych rodziców albo wręcz przepędzanie ich z domu „na żebry" należy do smutnych, a niestety, wciąż jeszcze nie przebrzmiałych tradycji naszej wsi.

W każdym takim wypadku można wskazać bezpośrednich winowajców — wyrodne dzieci, wnuki, rodzeństwo. Ale prócz nich winowajcami jesteśmy wszyscy, całe społeczeństwo, które nie zdobyło się na radykalne rozwiązanie, a przynajmniej na stanowcze postawienie problemu starości. W ciągu dwu ostatnich lat uczyniono co prawda niemało dla podniesienia rent i emerytur, ale to przecież tylko jedna i kto wie czy najważniejsza strona zagadnienia.

W WARSZAWIE stworzono niedawno rodzaj klubu starych ludzi, wykorzystując w tym celu pusty przed południem lokal jakiejś świetlicy. Niepracujące, często samotne stare osoby, mężczyźni i kobiety, mogą tam przyjść, znaleźć ciepło, miłą atmosferę, stosowne do swego wieku towarzystwo, rozrywkę, nawet „hobby". Podobno bywalcy klubu — a są to stali bywalcy i nie można uskarżać się na ich brak — bardzo chwalą sobie tę inowację, która przywraca im w jakimś stopniu przywileje młodszych lat. Czy tego rodzaju instytucje nie mogłyby i nie powinny powstać także w innych miastach i miasteczkach? Co za piękne pole działania dla Ligi Kobiet, wydziałów socjalnych, różnych innych miarodajnych czynników oraz instancji, nie mówiąc już o co bardziej przedsiębiorczych przedstawicielach samych zainteresowanych!

Ale poza troską o jakieś minimum przyjemności, są sprawy trudniejsze do załatwienia, a zarazem bardziej dotkliwe i palące: sprawa spokojnego kąta i odpowiedniej opieki dla ludzi starych, znużonych, schorowanych, często niedołężnych. Problem mieszkaniowy jest problemem ogólnonarodowym, ale dla ludzi starych przybiera on wyjątkowo przykry aspekt. Po pierwsze dla wspomnianego już powodu: że człowiek stary nie może krzepić się myślą poprawy warunków w przyszłości, bo tej przyszłości ma przed sobą zazwyczaj niewiele. Po drugie — bo z natury rzeczy bardziej cierpi nad wszystkimi niedogodami, jakie łączą się z przeładowaniem, przeciążeniem mieszkania, z wyciem radia, wrzawą dzieci, głośnymi rozmowami czy sprzeczkami pozostałych współlokatorów, choćby to nawet była najbliższa rodzina. W warunkach mieszkaniowych, jakie ma ogromna większość ludzi pracy, nawet gdy rodzina jest jak najlepiej ustosunkowana do starego ojca, matki czy babki — w praktyce po prostu nie ma możliwości zapewniania im tak pożądanej ciszy, wypoczynku, osobnej „ciupki".

Sprawę tę mogłyby przynajmniej w pewnym stopniu rozwiązać domy starców, gdyby było ich znacznie więcej niż jest i gdyby można (w uzasadnionych wypadkach na koszt społeczny, w miarę możliwości rodzinnych — odpłatnie) — zapewnić w tych domach warunki nie tylko dokonania życia, ale po prostu — życia.

JAK wiadomo inicjatywa budowy Domu Starców imienia Rodziny Matysiaków spotkała się z niesłychanie żywą, żywiołową reakcją całego kraju; z dużych i małych miast, z najbardziej zapadłych wsi, od biednych i bogatych, od jednostek i całych grup — płyną datki na budowę Domu. Świadczy to nie tylko o wielokrotnie komentowanej popularności Matysiaków, ale przede wszystkim może o tym, jak bardzo sama sprawa leży ludziom na sercu.

Dla uczczenia Tysiąciecia budujemy 1000 szkół, jasnych, przestrzennych, higienicznych szkół, w których będą się uczyć nasze dzieci. A gdyby przy tej samej okazji, gdy myślą zwracamy się w przyszłość, dać dowód troski o tych, którzy są wśród nas żywym wcieleniem przeszłości — troski o starców? Czy inicjatywa budowy nie tysiąca, nie, ale bodaj jednego nowego domu starców na każde województwo — nie byłaby także rzeczą słuszną, godziwą, przyjętą przez ogół z aplauzem?

Jak sądzicie, Czytelnicy?

AMA

Jak pisać sonety

MAREK JAWORSKI

Sonety Petrarki do Laury. Mickiewicza do pani Sobańskiej. Sonety — najskuteczniejsza droga do zdobycia kobiety — już sam rym o tym świadczy niezbicie. A któż by nie chciał zdobyć ukochanej, i niezdecydowanej, która z płatków róży wróży z uśmiechem niewinnym: być albo nie być — ty czy też ktoś inny? Kobiecie trzeba schlebiać, wielbić jej urodę. Nie każdy to potrafi. Chce napisać odę, wysila się — nic z tego: leje tylko wodę. Kwiaty, bombonierka z czekoladkami, to wszystko jest niczym wobec sonetu, tego pająka, co delikatną siecią pięknych słówek tak osaczy kobietę, że ta musi wpaść w sidła.

Ach, gdybym był poetą! Ach, gdybym pisał sonety! Wielu nieszczęśliwych kochanków wzdycha i marzy o tym daremnie. A tymczasem to wcale nie tak trudno. Jak pisać sonety? Wtajemniczę was w te sekrety. Współczując waszej męce nauczę tej nieskomplikowanej w gruncie rzeczy sztuki. Jestem bezinteresowny. Zresztą, jest dość kobiet na świecie i nic na tym nie stracę.

Sonet składa się z dwóch czterowierszy i dwóch trójwierszy — razem czternaście linijek. Dla pierwszej części potrzebne są dwukrotnie cztery rymowania, dla drugiej dwukrotnie trzy. Proste, prawda?

Tematem ma być piękno kobiety, uroda jej ciała i duszy. Ciało, jak wiadomo, składa się z głowy, ust, czoła, włosów, szyi, rąk itd. — jeśli poeta jest śmielszy, może zahaczyć o piersi, biodra i nogi. Do odpowiedniej części ciała trzeba dobrać trzy rymy, aby razem było ich cztery, oczywiście z sensem.

Na przykład: głowa, mowa, nowa, słowa (nie nadaje się krowa ani sowa); włosy — więc kłosy, losy, rosy (tylko nie wrzosy — kolor nie odpowiada, ani bosy — to raczej do nóg się stosuje; wniebogłosy też nie radzę: ciągnę cię za włosy, a ty krzyczysz wniebogłosy — takie słowa nie podbijają serca kobiety); usta — tu już trudniej: rozpusta to absolutnie wyłączone, mogą być: gusta, chusta; taki ładny rym jak langusta jest tu mało przydatny; ręce, o, to bardzo łatwo: nęcę, męce, kręcę. Kręcę ręce w męce — to brzmi bardzo przekonywająco. Szyja — mija, upija, czyja. Czyja szyja mnie upija? Oczywiście — ukochanej (ostrzegam przed rymami żmija i kija: obraza na śmierć — gotowa). I tak dalej...

A co się tyczy duszy? Już sam ten wyraz nastręcza odpowiednie rymy: twoja dusza tak mnie wzrusza, wszystko we mnie zło rozkrusza. Mogłoby być jeszcze: katusza, porusza albo grusza, ale w tym ostatnim wypadku dusza musiałaby być pokutująca (rozjusza ani katiusza nie nadaje się). A przymioty duszy? Sielska, anielska, marzycielska, przyjacielska (tylko nie bielska).

Jak widzimy, wszystko to jest bardzo łatwe, dowodem czego niechaj będzie ta recepta na napisanie sonetu, w której wyłożone tu zasady w formie sonetu powtórzę:

Jak się pisze sonety? Oto masz tu „ety",
Takich rymów potrzeba będzie razem cztery.
Na „ery" także cztery. Bez żadnej maniery
Zbudujemy tak sonet zdążając do mety.

Cały sens tu w rachubie, w ścisłości poety,
Nie puszczać się na żadne z fantazją afery:
To ułatwi w sonecie lot do stratosfery,
To znaczy lot do sławy, złota i kobiety.

Sonet prawie już gotów. Zostało sześć wierszy.
Trzy razy rym na „erszy" powtórzyć wypadnie
I „adnie" też trzykrotnie i w ten sposób ładnie

Bez trudu się ułoży sonecik najszczerszy.
I po co tu natchnienie? Jakiś poryw szerszy?
Czternaście już linijek ułożyłem składnie.

A zatem powodzenia, obywatele! Przez sonety do kobiety!

Księgarskie nowalijki

Już w najbliższych dniach trafi do księgarń nowa książka E. Hemingwaya — powieść „MIEĆ I NIE MIEĆ" (Czyt., opr. brosz., c. zł 15, nakł. 10.000), w przekładzie K. Tarnowskiej. Oryginalna, choć niejednolita w swej strukturze i brutalna, pokazuje nam okrutny świat strefy tranzytu między Florydą a Wielkimi Antylami, gdzie bogactwo i zbytek sąsiadują na codzień z nędzą bezrobotnych i wyzyskiwanych.

W tym samym wydawnictwie opuścił już drukarnię przekład niesamowitej z lekka powieści Al. Robbe-Grillet'a pt. „GUMY" (opr. brosz., c. zł 17, nakł. 10.000), przedstawiciela nowej szkoły powieściopisarstwa francuskiego (trzy nagrody: „Fénéon" — 1954, „Krytyków" — 1955 i „del Duca" — 1956). Spolszczona przez L. Kossobudzkiego powieść ta jest tylko z pozoru zagadką kryminalną, gdyż głęboka analiza psychologiczna nadaje tej książce całkiem inną rangę i walor.

Również „Czytelnikowi" zawdzięczamy ukazanie się świetnej powieści historycznej L. Strachey'a pt. „ELŻBIETA I ESSEX" (opr. brosz., c. zł 18, nakł. 20.000), której treścią są tragiczne dzieje ostatniej miłości wielkiej i okrutnej królowej Anglii, Elżbiety, do znacznie od niej młodszego hr. Essex, na którego urażona w swej królewskiej dumie kochanka wydaje wbrew swemu sercu wyrok śmierci. Przekład M. Godlewskiej.

Niemniej interesującą pozycję historyczną dorzucił do swego beletrystycznego dorobku PIW. Jest nią książka świetnego pisarza, członka Akademii Goncourt'ów — Fr. Carco pt. „OPOWIEŚĆ O FRANCISZKU VILLONIE" (opr. brosz., c. zł 15, nakł. 10.000) — zbeletryzowana biografia owego wspaniałego wagabundy i poety, „księcia żebraków" francuskiego średniowiecza. Przekład J. Dmochowskiej.

Chociaż wydana przez „Naszą Księgarnię", to z pewnością nie dla dzieci przeznaczona jest powieść H. A. Stolla pt. „SEN O TROI" (opr. pł., c. zł 38, nakł. 10.000), osnuta na tle życia słynnego odkrywcy ruin Troi — Henryka Schliemanna. Przekład H. i S. Kowalewskich — kilka dobrych fotoreprodukcji znalezisk Schliemanna.

Ostatnią z „nowości dnia" literatury przekładowej jest przełożona przez I. Bajkowską obszerna nowela M. Leskowa pt. „INTERESUJĄCY MĘŻCZYŹNI" (Czyt., opr. brosz., c. zł 10, nakł. 5.000) o bardzo żywej akcji i sensacyjnej fabule. Tłem noweli jest środowisko oficerskie zeszłowiecznej armii carskiej, w którym popełniono kradzież, a posądzenie o nią pada na oficera — Polaka, który przegrał znaczną sumę do jednego z kolegów. Rozwiązanie jest zgoła nieoczekiwane.

Z wartościowych wznowień trzeba zapowiedzieć rychłe ukazanie się na półkach księgarskich drugiej części świetnej powieści R. Graves'a „KLAUDIUSZ I MESSALINA" (PIW, opr. płóc., c. zł 40, nakł. 20.000) w tłumaczeniu S. Essmanowskiego.

Z literatury sensacyjnej ujrzymy wnet nową edycję „ZNAKU CZTERECH" A. C. Doyle'a (Iskry, opr. brosz., c. zł 10, nakł. 20.000) w tłumaczeniu K. Jurasz-Dąmbskiej.

Z nowości literatury rodzimej na czoło wysuwa się na poły bajeczna, na poły historyczna powieść H. Malewskiej z przełomu VII i VI wieku przed naszą erą pt. „OPOWIEŚĆ O SIEDMIU MĘDRCACH" (PIW, opr. płóc., c. zł 20, nakł. 10.000), którymi są autentyczne postacie Talesa z Miletu, Pitagorasa, Heraklita z Efezu, Pittakosa i in. Głównym problemem utworu jest zagadnienie wytwarzania się w społeczeństwie poczucia prawa.

Do bogatej listy poczytnych varsovianów przybyła znów dzięki J. Ficowskiemu ciekawa i cenna pozycja. Są nią „WSPOMINKI STAROWARSZAWSKIE" (Czyt., opr. brosz., c. zł 18, nakł. 7.000) — galeria znakomicie dobranych typów z grona tzw. „szarych ludzi", dobrze znanych mieszkańcom dawnej Warszawy, a będących często „ostatnimi Mohikanami" swego zawodu. Dobre fotografie tych ludzi nadają miłej książeczce Ficowskiego wartość historycznego dokumentu.

Julian Wołoszynowski wydał w PIW-ie tom swoich wspomnień z lat dziecinnych pt. „OPOWIADANIA PODOLSKIE" (opr. brosz., s. zł 12, n. 5.000), ukazujących nam nieistniejący już od dawna świat Podola z końca ub. wieku.

Dla literaturoznawców „Ossolineum" opracowało jako część dzieł wybranych G. Zapolskiej dwutomową jej „PUBLICYSTYKĘ" (z lat 1881 — 1897), uzupełnioną bogatymi komentarzami, ilustracjami i indeksami (opr. brosz., c. zł 80, nakł. 1.800).

Miłośników zaś literatury sensacyjnej ucieszy wiadomość, że niezadługo będą mogli nabyć w księgarni obok stuprocentowej nowości J. Dudzicza i B. Majchrzaka pt. „ŚMIERĆ W GALERII" (MON, opr. brosz., c. zł. 10, nakł. 50.000) również i wznowienie powieści T. Kosteckiego pt. „KALIBER 6-35" („Śląsk", opr. brosz., c. zł 12, nakł. 40.000).

Ponadto ze wznowień zaanonsować trzeba wydane: przez „Ossolineum" w serii „Bibl. Narodowej" — „ZAKLĘTY DWÓR" W. Łozińskiego (opr. płóc., c. zł 30, nakł. 2.800) — przez S. W. „Czytelnik" powieść historyczną B. Sujkowskiego „BOLKO ZAPOMNIANY" (opr. brosz., c. zł 27, nakł. 10.000) — przez „Wiedzę Powszechną" Wł. Witwickiego „WIADOMOŚCI O STYLACH" (opr. płóc. + obw., c. zł 50, nakł. 20.000) oraz trzecie z kolei wydanie (uzupełnione najnowszymi uworami poety) — „WIERSZY WYBRANYCH" Jana Brzechwy (PIW, opr. płóc., c. zł 35, nakł. 5.000).

Nowinkarz

NOTY

INFORMACJA. „Przekrój" (nr 74) w rubryce „Jednym tchem" zauważył „wieczór poezji czeskiej w przekładach K. A. Jaworskiego" zorganizowany na początku lutego przez Czechosłowacki Ośrodek Informacyjny w Warszawie. Tenże „Przekrój" w czerwcu ub. r. nie dostrzegł 25-lecia najstarszego pisma literackiego w Polsce.

NIETAKT. W n-rze 8 „Kultury i Życia" znajdujemy krótki artykulik mat'y „W 100 rocznicę śmierci Zygmunta Krasińskiego". Nie wchodząc w słuszność czy niesłuszność uwag autorki o wielkim pisarzu, na którego utworach wychowały się w okresie niewoli trzy pokolenia, dziwimy się bardzo nietaktownemu umieszczeniu tego artykuliku na kolumnie drugiej zamiast pierwszej, na miejscu artykułu Zygmunta Mikulskiego „Nie tylko o ścianie".

LUKA. Wnikliwy i instruktywny referat, który usłyszeliśmy na uroczystej sesji WRN z okazji XV rocznicy powstania lubelskiej WRN, miał pewną dość istotną lukę. Charakteryzował ożywiony ruch kulturalny w Lublinie w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, zawierał wzmiankę o pięknym rozwoju teatru, o wznowieniu działalności chóru śpiewaczego, o powstaniu UMCS — nie było w nim natomiast nic o literaturze. A przecież to w Lublinie po przerwie okupacyjnej wznowił swoją działalność ogólnopolski Związek Literatów Polskich i tutaj przez kilka miesięcy ukazywało się pierwsze pismo literackie w wyzwolonej Polsce — „Odrodzenie".

WARTO PRZYPOMNIEĆ. Słuchając tego przemówienia pomyśleliśmy sobie, że na XV-lecie PKWN należałoby wznowić dawno wyczerpaną, pisaną na gorąco książkę Heleny Boguszewskiej „Nigdy nie zapomnę", mówiącą o Lublinie — stolicy.

NIEZNANY MAJAKOWSKI. Niezmiernie interesująca publikacja Wydawnictwa Akademii Nauk ZSRR „Nowoje o Majakowskom" (tom 65 „Litieraturnogo Nasliedstwa") przynosi mnóstwo pasjonujących, nie znanych dotąd szczegółów dotyczących osoby świetnego poety radzieckiego (m. in. listy do L. J. Brik). Czytelnika polskiego zainteresuje fotografia przedstawiająca Majakowskiego w poselstwie radzieckim w otoczeniu pracowników poselstwa i dziennikarzy polskich z czasów bytności poety w Warszawie (koniec 1928 lub pocz. 1929 r.). W notesie Majakowskiego znajdujemy następujące zapiski związane z pobytem jego w Polsce i wykorzystane później w szkicach „Jeździłem w ten sposób" i „Powyżej Warszawy": „Pismo „Dźwignia". Hempel (ekonomista literat). Stawer(!) — krytyk. Szczuka — malarz konstruktywista. Żarnower (malarka). Wandurski (poeta teatr Łódzki). Broniewski — poeta. Słonimski — poeta (Wieża Babel). Milier — krytyk, skamandra. Tuwim (Słonimski) — poeta. Pisze do kabaretu. Zahorska (krytyk plastyczny). Pronaszko — malarz ekspresjonista. Winkler — malarz (formiści-ekspresjoniści). Rutkowski — malarz. Stern — poeta-futurysta. Wat — urodzony futurysta". Osobno na innym arkuszu notatnika: „Szopen do parku ujazdowskiego". Opinia o pomniku Szopena: „najniedorzeczniejszy pomnik Szopena, podarowany Polsce przez jakiegoś rzeźbiarza francuskiego o średnich zdolnościach". O pomniku Poniatowskiego: „na koniu, bez spodni, wskazuje mieczem w stronę Ukrainy. Pomnik ten już przez to jedno nie jest całkiem zły, że pomnik Szopena jest o wiele gorszy"...

-kaj-

Przewodnik po literackim Szczecinie

(Dokończenie ze str. 2)

piej i trwalej przemówi słowo proste, choć nie pozbawione poetyckiego piękna.

Oczywiście, nie namawiam w ten sposób poetów szczecińskich do spłycenia i zwulgaryzowania poziomu ich twórczości, a jedynie do używania w niej (także — ale nie wyłącznie) bardziej komunikatywnych i uświęconych tradycją środków lirycznej ekspresji. Jak na razie bowiem jedynymi sługami mowy wiązanej piszącymi „dla mas" są w Szczecinie satyrycy i fraszkopisy — Grodzicki i Wojciechowski, a o ich dopuszczenie w ogóle do almanachu mam z racji artystycznych do redaktora książki głęboką i osobistą pretensję.

Kończąc tę, umożliwioną dzięki almanachowi, wędrówkę po literackim Szczecinie — wypada wyciągnąć z niej wnioski w myśl zasady „podróże kształcą". Właściwie wniosek jest jeden: radość, że w Szczecinie istnieje ciekawe i obiecujące, także młode, środowisko pisarskie — i nadzieja na jego coraz piękniejszy i bujniejszy rozwój. Tym zaś, którzy zechcą się zżymać na konwencjonalność i banalność tego wniosku — życzę, aby posiedzieli kilka godzin w „twórczej" atmosferze poznańskiej kawiarni, a na pewno przejadą się co prędzej do Szczecina, by tam wsłuchać się w realny rytm kulturalnej „pracy od podstaw". *

*) Szczecin literacki — almanach. Wybór tekstów i redakcja: Ireneusz Gwidon Kamiński. Szczecin 1958. Nakładem Szczecińskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Str. 781. Cena zł 30.

Zbigniew Pędziński

Z czasopism coś niecoś o literaturze

(Dokończenie ze str. 10)

cję moralną. Wizja świata właściwa moralizmowi i literatura z nią związana może posłużyć się jedynie zastaną, tradycyjną ideologią moralną, aby wedle jej reguł konstruować symboliczne sytuacje. W literaturze oznacza to rezygnację właśnie z rozwiązywania nowych problemów, nieznanych tej zastanej ideologii moralnej. Oznacza to wtłaczanie żywych zjawisk współczesnych w schematy starych mitów.

Oto stanowisko sformułowane dość precyzyjnie, by nawet niewtajemniczeni mogli się z nim zgodzić lub — dyskutować.

Jak dalece sprawa losów książki literackiej nurtuje dziś umysły pisarzy całego świata, świadczy fakt, że tematem obrad tegorocznego międzynarodowego kongresu klubów literackich PEN (który odbędzie się w dn. 19—25 czerwca we Frankfurcie nad Menem) będzie właśnie sytuacja literatury pięknej w wieku nauki.

m. b.-r.

odpowiedzi redakcji

P. P.

Tad. Wojc. Sz. w Warszawie i Wit. Iv. Smol. w Grudziądzu. Dziękujemy za pamięć. Z braku miejsca nie skorzystamy.

St. Por. w Oławie. Niestety, teraz inni czekają w kolejce. Najlepszy wiersz: „Wiem, że jesteś".

Maria Lubow w Lublinie. Pseudonim — owszem. Wiersze: na razie próbki bez wartości.

Jan Łucz. w Wołyniu. Radzimy nie pisać. A czytać jak najwięcej.

Jan Eug. Sier. w Szczecinie. Nadesłane utwory nie dla nas. Powtarzamy rady udzielone w n-rze 23/24.

Jan Jel. w Krakowie. Przykro nam, ale żaden z wierszy nie nadaje się do druku.

And. O. w Częstochowie. Może zamieścimy w przyszłości „Ktoś do mnie dzisiaj przyszedł".

Rysz. W. Kr. w Białymstoku. Wydaje nam się, że z „Paraleli" najciekawsze dwa utwory: „Czas" (refleksja) i „Mowa kwiatów" (uczucie). Gatunek literacki, który Pan sobie obrał, nie należy do łatwych: grożą banały. „Obcęgi" w dopełniaczu „obcęgów" (nie „obcąg"). Adres p. T. Kłaka: Lublin, Zamek, Miejski Dom Kultury.

Zb. Mar. Zab. w Lublinie. Niektóre z wierszy otrzymaliśmy już dawniej. Nie wyjaśnia Pan uparcie wiadomej sprawy, dlatego „Dziewczynę" możemy zamieścić jedynie w tej rubryce: „Za pergaminem okna / stała dziewczyna / o pomarańczowej twarzy / w brązowych dłoniach / trzymała / / biały obłok lizaka".

Autorka wierszy „Czekaj chwilę", „Okno" i „Zaproszenie". Prosimy o podanie dokładnego adresu.

Kącik racjonalizatora

Do szpad mości panowie!

OSTATNIO zaznacza się w naszych czasopismach literackich żywiołowy rozwój życia polemicznego (życie polemiczne — przez analogię do życia kulturalnego, życia społecznego, „Życia literackiego" oraz innych żyć). Jedni się kłócą, inni się śmieją, Dygat się goli, a reszta, to znaczy znakomita większość, wzrusza ramionami, nie mając pojęcia o co chodzi, bo to, o co chodzi, jest z zasady starannie zamaskowane. Gdzieś ktoś komuś nadepnie na piętę Achillesową, i dalejże w ruch Watermany i Remingtony, dalejże płynąć potokiem noty, listy, protesty i wyjaśnienia, a w nich atrament i tusz miesza się z żółcią i błotem, jakim obrzucają się wieszcze i autorzy z Krakowskiego Przedmieścia oraz jego filii (jak wiadomo przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie mieści się centrala Polskiego Parnasu).

A wszystko to dlatego, że odsądzając od czci i wiary wiek XIX, wyrzucono też na śmietnik przesądów wypróbowaną a skuteczną metodę szybkiego finalizowania wszelkich „pyskówek" ludzież ręko- i pióroczynów — pojedynki.

Jakże zbawiennie odmieniłoby się nasze życie, gdyby powrócić do tego niesłusznie odrzuconego systemu racjonalizatorskiego. Pojedynki nie tylko skróciłyby walnie cykl polemiczny, przyczyniając się zarazem do wydatnego zaoszczędzenia szpilek i jadu z jednej strony, a papieru i cierpliwości czytelników z drugiej. Restytucja pojedynków miałaby znacznie szersze, dobroczynne skutki.

Literaci karnie stanęliby w szeregach szermierczych, we własnym dobrze pojętym interesie przykładając się do ćwiczeń, zalecanych przez fechmistrza (bywają nimi zazwyczaj wysłużeni wojskowi). Wyblakłe hasło „W zdrowym ciele zdrowy duch" nabrałoby rumieńców aktualności: pod działaniem treningów umysły oczyściłyby się z wszelkich niepożądanych miazmatów. Przy poszczególnych oddziałach Związku Literatów jako też przy ZAIKS-ie i PEN-Clubie powstałyby sekcje szermierki, a dla zwolenników nowoczesności: boksu i dżiu-dżitsu. Sandauer otrzymałby niebawem tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu; wyróżniające się sekcje miałyby szanse wejścia z czasem do kadry narodowej, i dzięki temu literaci zyskaliby na równi z przedstawicielami innych dyscyplin sportowych — prawo wyjazdu za granicę, brania w skórę i zasilania rodzimego parku samochodowego.

Jednym słowem — wilk syty i koza cała.

A zatem — do szpad, mości panowie!

(At)

Konkurs poetycki

Grupa literacka „Prowincja 58" przy Łódzkim Oddziale Stowarzyszenia PAX, Łódź, ul. Piotrkowska 49, ogłasza otwarty konkurs na utwór poetycki o dowolnej tematyce i formie:

1) Prace powinny być złożone na podany w/adres w trzech egzemplarzach w zalakowanej kopercie, zaopatrzonej godłem autora. W drugiej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, umieścić należy dokładny adres oraz imię i nazwisko autora.

2) Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1.IV.59 r., przy czym obowiązuje data stempla pocztowego.

3) W konkursie może wziąć udział każdy poeta, który do chwili ogłoszenia konkursu nie posiada na swym koncie pozycji książkowej.

4) Prace nadsyłane na konkurs nie mogą być do chwili ogłoszenia wyników konkursu publikowane w prasie, radio i telewizji.

5) W skład jury wchodzą następujące osoby: Zbigniew Bieńkowski, Stanisław Czernik, Maciej Józef Kononowicz, Zygmunt Lichniak, Marian Piechal, Andrzej Piotrowski, Aleksander Rymkiewicz.

6) Ustalone są następujące nagrody: I nagroda w wysokości zł 3.000; II nagroda w wysokości zł 2.000; III nagroda w wysokości zł 1.000.

7) Osoby nagrodzone i wyróżnione zaproszone zostaną na uroczystość ogłoszenia wyników konkursu i wręczenia nagród oraz na turniej poetycki, który odbędzie się w niedzielę dn. 3.V.59 r.

8) Zwycięzcy turnieju poetyckiego otrzymają dodatkowo nagrody w wysokości: I nagroda zł 1.000; II nagroda zł 750; III nagroda zł 500.

9) Dodatkowymi nagrodami dla zwycięzców konkursu będzie wydanie w trybie przyspieszonym pozycji książkowej przez Instytut Wydawniczy PAX oraz publikacji nagrodzonych i wyróżnionych utworów w szeregu wydawnictw prasowych.

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 842. 19.II.59. E-1.